

Eugeniusz Iwaniec
(Łódź)

Napad sowieckiej partyzantki na Kosów Poleski 3 sierpnia 1942 r. (sukces czy klęska?)

*Miastu Kosów Poleski
dedykuję*

W ostatnich latach dość często odwiedzam na Białorusi moje rodzinne miasto Kosów Poleski (Kossowo, Kosawa)¹ i Mereczowszczyznę², leżącą na jego skraju. Tutaj spędziłem najcudowniejsze lata swego życia. Tu też, jeszcze w dzieciństwie, zapoznałem się z dziejami mego wielkiego krajana Tadeusza Kościuszki (ok. 1746-1817)³. W porównaniu z okresem przedwo-

¹ Zob.: F. S[obieszkański], *Kosów*, [w:] *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, pod. red. Filipa Sulimierskiego, Bronisława Chlebowskiego i Władysława Walewskiego, t. 4. Warszawa 1883, s. 473; M. W. Banasiewicz, W. I. Maroz, U. W. Maroz, *Kosawa (Kosaŭ)*, [w:] *Pamięć. Iwacewicki rajon*, Mińsk 1997, s. 481-485.

² J. Krz., *Mereczowszczyzna*, [w:] *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów*, t. 6, Warszawa 1885, s. 259; M. W. Banasiewicz, W. I. Maroz, *Mieraczoŭszczyzna*, [w:] *Pamięć. Iwacewicki rajon*, s. 486. Uważa się, że to tutaj Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko 12 lutego 1746 r. został ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim w miejscowej kaplicy, należącej do parafii w Kosowie, gdzie następnie został zarejestrowany w księdze metrykalnej.

³ Dokładna data urodzenia T. Kościuszki nie jest znana. Obecnie w Mereczowszczyźnie obchodzona dość hucznie data 4 lutego – rzekomego urodzenia bohatera wielu narodów, jest umowną i całkowicie nieuzasadnioną. Stanowi ona tylko jedną z wielu hipotez i to najmniej prawdopodobną, ponieważ w tamtych czasach chrzczono dzieci nieraz kilka miesięcy lub nawet kilka lat po urodzeniu. Por.: W. A. Dzwonkowski, *Młode lata Kościuszki*, „Biblioteka Warszawska”, t. 4: 1911, zeszyt 1, s. 23; D. Fionik, *Pravosławne korzenie Kościuszków*, „Przegląd Prawosławny”, Białystok 2004, nr 12, s. 30-31.

jennym moje miasto utraciło teraz swoje dawne znaczenie. Kosów Poleski przestał być miastem powiatowym, przypominając bardziej osadę miejską. Domek T. Kościuszki w Mereczowszczyźnie (spalony w 1942 r.), dawna chluba miasta⁴, dopiero w 2004 r. został odbudowany, a pałac Pusłowskich (spalony w 1944 r.) nadal straszy swoimi ruinami⁵. Zmniejszyła się też liczba ludności. Rdzenna ludność wymarła lub wyjechała, rozproszyła się po całym świecie.

Przyczyn upadku miasta należy doszukiwać przede wszystkim w burzliwych losach wojennych, jakie przeszedł Kosów. Na losach miasta szczególnie zaważyły wypadki związane z datą 3 sierpnia 1942 r., kiedy to zjednoczone oddziały sowieckiej partyzantki usiłowały rozgromić okupacyjny garnizon niemiecki. Ten kontrowersyjny atak, nazywany przez miejscową ludność napadem, do tej pory oficjalnie uważany jest za czyn bohaterski. W 1955 r. władze miasta ufundowały nawet obelisk, aby uwiecznić to wydarzenie, umieszczając na nim następujący napis w języku rosyjskim:

„В августе 1942 года партизанскими отрядами им. Щорса, им. Димитрова, им. Ворошилова был разгромлен немецко-фашистский гарнизон в гор. Коссово. Город больше месяца находился в руках партизан”⁶

„W sierpniu 1942 roku oddziały partyzantów im. Szczorsa, im. Dymitrowa, im. Woroszyłowa rozgromiły niemiecko-faszystowski garnizon w mieście Kossowo. Miasto ponad miesiąc znajdowało się w rękach partyzantów” [tłum. E. I.]

Ile razy stoję przed tym obeliskiem, zastanawiam się dlaczego jest to obelisk chwały, a nie klęski. Obelisk zwykłej propagandy. Dlaczego gloryfikuje się coś, co nie odpowiada prawdzie? Dlaczego wpaja się młodemu pokoleniu zakłamanie? Dlaczego obchodzi się hucznie jubileusze rzekomego zwycięstwa? Dlaczego czyni się bohaterami miasta tych, którzy dopro-

⁴ Zbudowany ok. 1720 r. przez Sapienhów. Po 1740 r. zamieszkały przez Teklę i Ludwika Kościuszków – rodziców Tadeusza, w którym spędził on lata dziecińne do 1755 r. W 1857 r. domek wyremontowano i otoczono zielenią. W 1926 r., po przejściu domu przez państwo polskie, został on poddany restauracji. W 1936 r. urządzono tu „izbę pamiątek”, którą w 1939 r. zlikwidowały władze sowieckie.

⁵ R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej*, wyd. 2, Warszawa 1992, t. 2, s. 255-257.

⁶ Pierwotnie na obelisku widniał napis z nazwiskiem Nikołaja Władimirowicza Sieńkina jako głównodowodzącego akcją. Po interwencji w 1992 r. Pawła Wasiljewicza Proniagina tekst na tablicy zmieniono na przytoczony powyżej: W. S. Possie, A. A. Faktorowicz, *Pamiętnik partizanskiej sławy*, [w:] *Słownik pamiątek historii i kultury Białorusii. Brestskaja oblast'*, Mińsk 1990, s. 210; okoliczności zmiany napisu podała Siergiej Filipowicz, mieszkaniec Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 2 maja 2005 r.



Domek T. Kościuszki w Mereczowszczyźnie, dawna chluba miasta, dopiero w 2004 r. został odbudowany. Fot. Józef Szymańczyk

wadzili je do upadku? Ta myśl od dłuższego czasu nie daje mi spokoju. Pamiętam okrutne lata wojny i tamte wydarzenia w Kosowie dość dokładnie. Nie mogę się pogodzić również z niektórymi publikacjami opisującymi owe wydarzenia. Nie mogę również pogodzić się z zakłamaniem, obok którego przechodzi się tak obojętnie. Tymczasem są jeszcze starsi ludzie, którzy pamiętają tamte czasy, wiedzą jak było naprawdę, ale jest ich coraz mniej.



Rekonstrukcja domu Kościuszki. Fot. Eugeniusz Iwaniec (2004 r.)

Rdzenna ludność nie przekracza nawet 20% teraźniejszych mieszkańców Kosowa, a ludność napływowa, stanowiąca większość, nie związana uczuciowo z przeszłością Kosowa i Mereczowszczyzny, wierzy w to, co zostało napisane w bałwochwalczych, zakłamanych publikacjach. Toteż mam zamiar wskrzesić fakty, napisać prawdę i zmasać kłamstwa.

W pracy swojej rozważania będę opierał na publikacjach autorów, głównie uczestników tamtych wydarzeń: białoruskich, polskich i żydowskich, na ustnych wspomnieniach starszych mieszkańców Kosowa, przeważnie jednak na własnych spostrzeżeniach i wspomnieniach. Nie mam zamiaru oceniać całokształtu prac tych autorów, którzy bezpośrednio brali udział w napadzie na Kosów, ani ujmować ich zasług dla ruchu partyzanckiego. Pragnę tylko zająć się jednym z fragmentów ich działalności partyzanckiej, a mianowicie wspomnianym napadem. Natomiast wnioski, jakie wynikną z moich rozważań, zostawiam pod rozważę badaczom ruchu partyzanckiego na Białorusi.

Wydaje mi się dość dziwnym, że napad partyzantów na Kosów 3 sierpnia 1942 r. do tej pory nie doczekał się wnikliwego opracowania. Trudno więc uwierzyć, aby wśród kosowian nie znalazł się ani jeden zdolny człowiek, który pokusiłby się opisać to wydarzenie, tym bardziej że żyło jeszcze tam bardzo wielu naocznych świadków. Uważam, iż głównym powodem tego stanu rzeczy był strach przed kultem partyzantów, jaki wokół siebie oni sami roztaczali oraz aureolą, jaką otaczała ich władza państwowa, którą często oni sami stanowili. Nie mamy więc żadnej pracy poświęconej wyłącznie napadowi na Kosów. Jego fragmentaryczny opis znajdujemy jedynie w szerszych opracowaniach, dotyczących wspomnień poszczególnych partyzantów – uczestników tego wydarzenia oraz byłych mieszkańców Kosowa, związanych uczuciowo z tym miastem. Dziwnym wydaje się też, że wspomnienia byłych partyzantów stosunkowo późno ukazały się w druku. Czyżby autorzy czekali, aż naoczni świadkowie wymrą lub niewygodne dla nich fakty pójdą w zapomnienie?

Do tych wspomnień przede wszystkim należy zaliczyć książkę Pawła Proniagina (1916-1997) *U samej granicy (Przy samej granicy)*, wydanej w 1979 r. w Mińsku. Pozycja ta jest bardzo cenna dla naszych rozważań, gdyż autorem jej jest znany partyzant, który wiosną 1942 r. w okolicy Bytenia zorganizował silny oddział partyzancki im. N. A. Szczorsa. On to właśnie, jak sam twierdził, dowodził napadem na Kosów, co opisał w rozdziale swojej książki *Dajosz Kossowo! (Weźmy Kosów!)*. Rozdział ten obok prawdziwych relacji zawiera również szereg, moim zdaniem, celowo podanych nieprawdziwych informacji, na które potem bezkrytycznie powoływali się inni piszący o tych wydarzeniach.

O tym napadzie P. Proniagin wspomina też w artykule *Dielo wsienarodnoje (Sprawa ogólnonarodowa)*, zamieszczonym w książce *Bug w ognie*

(*Bug w ogniu*), wydanej w 1977 r. w Mińsku⁷.

Inny uczestnik napadu na Kosów, Siergiej Ruticz (1922-1992), poświęcił tym wydarzeniom rozdział *Boj za Kossowo (Bój o Kosów)* w swojej książce *Nawieki junyje (Wiecznie młodzi)* wydanej w 1974 r. w Mińsku⁸. Autor był saperem początkowo w oddziale im. K. J. Woroszyłowa, a potem w oddziale im. G. M. Dymitrowa, zlokalizowanym w lasach hutami-chalińskich. W swojej książce podaje on często bałamutne informacje, a niekiedy jeszcze fantazjuje i zmyśla. Rozdział poświęcony wydarzeniom związanym z napadami na Kosów jest typowym przykładem manipulowania faktami, propagandowym przekłamaniem. Być może niektóre z tych bałamutnych informacji wniósł do książki Dmitrij Dielcow, który dokonał jej literackiego opracowania.

Na szczególne znaczenie dla moich rozważań zasługują wspomnienia Zachariasza Zimaka, obecnie zamieszkałego w Akko w Izraelu, zatytułowane *Kosaŭskaje hieta*, zamieszczone 18 marca 1994 r. w 21 numerze gazety „Iwacewicki Wiesnik”. Autor przybył do Kosowa we wrześniu 1939 r. jako uchodźca z Warszawy. W Kosowie przeżył gehennę getta, udało mu się ocalić życie, a w czasie napadu na Kosów wyjść z ukrycia i przyłączyć się do wycofującego się oddziału im. N. A. Szczorsa.

Bardzo ważną pozycję stanowi również artykuł Ełły Maksimowej *Żył li prawiednik po prawdzie (Czy sprawiedliwy postępował sprawiedliwie)*, zamieszczony 1 marca 1995 r. w 39 numerze gazety „Izwestija”. Autorka wyjaśnia tu kulisy napadu na Kosów i podaje mało znane fakty o postawie Żydów w oddziale im. N. A. Szczorsa i in. oraz ukazuje rolę, jaką w ich życiu odegrał P. Proniagin.

Napad na Kosów został też opisany przez jeszcze jednego z jego uczestników, Jakuba Szepetyńskiego (ur. 1920), członka oddziału im. N. A. Szczorsa, byłego mieszkańca Słonimia, obecnie zamieszkałego w Ramat-Gan w Izraelu. Wydarzenia te autor relacjonuje w dwóch książkach. Pierwsza — *Drabina Jakubowa* — ukazała się w 1998 r. w Łodzi. Jest to tłumaczenie na język polski z angielskiego *Jacob's Ladder* (1996), dokonanego przez Monikę Izabelę Kaczmarek⁹. W tej książce autor swoją relację umieszcza w rozdziale VII pod wymownym tytułem *Nie wstydzimy się już żydowskiego pochodzenia*. Druga książka to *Prigowor (Wyroki)*, napisana w języku rosyjskim i świetnie zredagowana przez Grigorija Rozinskiego. Ukazała się ona w 2002 r. w Tel-Awivie. Wydarzenia w Kosowie zostały przedstawione w rozdziale XV zatytułowanym *My toże możem (My też możemy)*. Niektóre

⁷ Istnieje też pierwsze wydanie z 1965 r., mało dostępne.

⁸ Drugie wydanie opublikowało wydawnictwo „Bielaruś” w Mińsku w 1980 r. w ilości aż 75 000 egzemplarzy.

⁹ Wydana jest również w jidysz i nagrodzona premią Związku Inwalidów Izraela – J. Szepietinskij, *Prigowor*, Tel-Aviv 2002, s. 171.



Pałac Pusłowskich (widok przedwojenny). Fot. Józef Szymańczyk

relacje dotyczące napadu na Kosów w obu książkach wzajemnie się uzupełniają, inne przedstawione są odmiennie, a nawet przeczą sobie. Toteż wydaje mi się, że autor często myli wiele faktów z innymi wydarzeniami nie mającymi związku z Kosowem lub celowo przedstawia siebie jako wyjątkowego bohatera. Ponadto powtarza bezkrytycznie niektóre informacje zawarte w publikacjach P. Proniagina i in.

Wiele cennego materiału dla moich rozważań wnosi białoruska monografia rejonu (powiatu) iwacewickiego zbiorowego autorstwa *Pamiat' (Pamięć)* wydana w 1997 r. w Mińsku. Jednakże sam napad na Kosów przedstawiony tu jest albo w postaci fragmentu książki P. Proniagina *U samoj granicy*, albo oparty jest na jego niemal wyłącznej relacji. W pracy nie uwzględniono prawie żadnej z moich uwag i propozycji, chociaż umieszczono moje nazwisko wśród autorów materiałów dostarczonych do tej książki.

Ponadto korzystam z informacji zawartych w podobnej zbiorowej monografii rosyjskiej *Pamiat' (Pamięć)*, ale dotyczącej rejonu (powiatu) bieriozowskiego (Bereza Kartuska), wydanej w 1987 r. w Mińsku. Dla naszych rozważań na szczególną uwagę zasługuje zamieszczony w niej wydruk opracowania z dn. 12 września 1944 r. *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada imieni N. A. Szczorsa*, sporządzony dla Archiwum Partyzanckiego przy KC KP Białorusi. Opracowanie to, obok prawdziwych informacji, zawiera szereg informacji zmyślonych, które stały się potem źródłem do powielania nieprawdy.

Korzystam tu również z relacji o napadzie na Kosów dwóch autorów polskich, byłych mieszkańców tego miasta. Pierwsza praca zawiera wspomnie-

nia Józefa Szymańczyka (1909-2003) *Jestem fotografem* zamieszczone w nr 1 „Kontekstów” z 1993 r. Autor przedstawił tu sytuację ludności Kosowa i swoją własną — szczególnie interesującą nas — tuż po napadzie partyzantów.

Autorem drugiej pracy *Kosów Poleski moje miasto rodzinne* z 1991 r. jest Władysław Sawicki (ur. 1925) z Nowego Targu. Nie jest ona opublikowana w formie książkowej, krąży jednak w Polsce i na Białorusi w maszynopisach. Praca nosi znamiona monografii miasta Kosowa. Jest pierwszą próbą napisania takiej książki. Zawiera ona wiele wartościowego materiału do dziejów Kosowa, Mereczowszczyzny i osoby Tadeusza Kościuszki, w oparciu niekiedy o zasoby archiwalne. Jednakże niektóre relacje, obok prawdziwych informacji, zawierają też informacje niesprawdzone, a niekiedy jedynie zasłyszane lub są one przedstawione jednostronnie czy tendencyjnie. Ponadto ze sposobu opisywania wydarzeń związanych z napadem i po nim odnoszę wrażenie, że autor nie był ich naocznym świadkiem.

Dla moich rozważań duże znaczenie posiada również praca Jerzego Turonka (ur. 1929) *Białoruś pod okupacją niemiecką*, wydana w 1993 r. w Warszawie. Jest ona oparta na olbrzymim materiale źródłowym. Praca pozwoliła lepiej zrozumieć ogólny obraz Białorusi w latach wojny i okupacji: ruch partyzancki oraz próby wykorzystania przez Niemców aspiracji narodowych Białorusinów.

Na podstawie wymienionych prac i in. w konfrontacji z moimi wspomnieniami oraz wspomnieniami starszych osób postaram się nakreślić rzeczywisty przebieg i skutki napadu partyzantów na Kosów.

Według oficjalnej wersji P. Proniagina, to on sam był inicjatorem napadu na Kosów¹⁰. W jego oddziale im. N. A. Szczorsa, jak twierdził, w końcu lipca 1942 r. było już ponad 500 dobrze uzbrojonych partyzantów. Mając do dyspozycji taką siłę bojową, chciał on przeprowadzić jakąś pokazniejszą akcję, ponieważ taka operacja w wypadku powodzenia podniosłaby ducha bojowego jego oddziału, wiarę we własne siły i wyrobiłaby przekonanie, że zwycięstwo jest możliwe. Miała też za zadanie pokazać społeczeństwu siłę ruchu partyzanckiego i podnieść jego autorytet. Ponadto wprowadziłaby zamęt w szeregach okupantów i zmusiłaby ich do utrzymywania na terenach okupowanych dużej liczby uzbrojonych jednostek, co sprzyjałoby wojskom sowieckim na froncie¹¹.

Według S. Ruticza, na wypadek powodzenia liczone także na wzrost szeregów partyzanckich. Uważano również, że wielu zdrajców zastanowi się nad swoim dalszym losem, zwłaszcza w mniejszych garnizonach¹².

Natomiast J. Szepetyński najpierw pisał, że „celem było zaatakowanie

¹⁰ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, Mińsk 1979, s. 43.

¹¹ Tenże, *Dielo wsienarodnoje*, [w:] *Bug w ognie*, wyd. 3, Mińsk 1977, s. 220.

¹² S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, Mińsk 1974, s. 99.

i zniszczenie garnizonu miasta Kosów (woj. Brześć nad Bugiem)¹³, a w parę lat później, że było „zadaniem zniszczyć wroga, zdobyć broń, ale głównie medykamenty”¹⁴, których zdobycie było jakoby w tej akcji najważniejsze, co niezupełnie odpowiadało prawdzie. Chodziło tu zapewne tylko o podkreślenie wątpliwych zasług w napadzie jego znajomego doktora Abra- ma Blumowicza (1909-1972), rodem z Łomży¹⁵.

Jednakże w świetle informacji podanych przez E. Maksimową i Z. Zimaka o napadzie na Kosów zadecydowały nie wyżej wymienione powody, które stanowiły raczej tylko pewną przykrywkę dla właściwego celu. Otóż według E. Maksimowej, P. Proniagin zdecydował się atakować Kosów, gdy wywiad partyzancki doniósł mu o planowanym rzekomo przez Niemców na 2 sierpnia 1942 r. „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej” w tym mieście. Wtedy postanowił on uprzedzić „decyzję pacyfikatorów”¹⁶. Nie ma w tym nic dziwnego, że podjął się takiego wyczynu, albowiem w tym czasie P. Proniagin nie tylko kierował się rozumem i partyzancką racją stanu, ale również młodzień- czym uczuciem. Był on bowiem bezgranicznie zakochany w młodej Żydówce — Dinie (Irenie Weiselfisz — ur. w 1924 r.), zbiegłej z Warszawy, a przybyłej do oddziału im. N. A. Szczorsa z getta w Słonimiu¹⁷. Zapewne jej lub komuś z jej otoczenia bardzo zależało na wyprowadzeniu z Kosowa kilkudziesięciu ukrywających się jeszcze tam Żydów i chyba kogoś bardzo bliskiego. Może chodziło tu o Z. Zimaka, który też przecież był uchodźcą z Warszawy. A może o kogoś innego? Dokładnie nie wiem. Nie można też wykluczyć, że chodziło tu również o zabezpieczenie jakichś cennych kosztowności lub ważnych do-

¹³ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, Łódź 1998, s. 46.

¹⁴ Tenże, *Prigowor*, s. 64.

¹⁵ O nim: A. Blumowicz był lekarzem w getcie w Słonimiu; zbiegł do lasu, gdzie był cenionym i bardzo potrzebnym lekarzem w partyzantce. Po wojnie był bardzo ważnym lekarzem w Brześciu. Następnie ponoć wyjechał nielegalnie do Polski, a stąd do Izraela – W. Tołkaczow, mieszkaniec Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 5 sierpnia 2005 r.

¹⁶ E. Maksimowa, *Żył li prawiednik po prawdzie*, „Izwestija” z dn. 1 marca 1995 r., nr 39; Z. Zimak, *Kosaŭskaje hieta*, „Iwacewicki Wiesnik” z dn. 18 marca 1994 r., nr 21.

¹⁷ O niej: Dina była w partyzantce konkubina P. Proniagina; urodziła mu syna Sławika, który jednak długo nie żył, gdyż zmarł w czasie epidemii dyfte- rytu. Jej zażyłość z P. Proniaginem była często kością niezgody w dowództwie oddziału. Dina była kobietą inteligentną i światłą. To ona m.in. stanęła na czele buntu 51. grupy, po którym to ugrupowanie zostało rozwiązane, a jej członków wcielono do różnych oddziałów. Po wojnie wyjechała do Polski, a następnie do Czechosłowacji, po czym do Izraela. Obecnie mieszka w USA. Jest matką kilkorga dzieci i ponoć profesorem prawa. W 1992 r. przybyła na Białoruś i w Mereczowszczyźnie oraz Kosowie brała udział w uroczystościach z okazji 50. rocznicy rzekomego „rozgromienia garnizonu niemiecko-faszystowskiego” – J. Szepietinskij, *Prigowor*, s. 71; E. Maksimowa, *Żył li prawiednik po prawdzie...*; Nazwisko Diny poznałem dzięki uprzejmości drugiej żony P. Proniagina, Anny Gawriłownej Plewiny, mieszkanki Brześcia, w roz- mowie z autorem dn. 21 czerwca 2005 r.

kumentów spadkowych czy innych. Są jednak wszelkie podstawy aby przypuszczać, że cała ta wyprawa na Kosów była przede wszystkim dobrze przemyślana i zorganizowana z inicjatywy i na życzenie Diny i jej najbliższych. Historia zna wiele takich przykładów, gdy młode Żydówki w potrzebie rozkochały w sobie różnych wygodnych im przywódców, działając m.in. w interesie całej swojej społeczności. Podobnie postąpiono z P. Proniaginem, który od samego początku bardzo sprzyjał Żydom, tym bardziej że Dina go chyba szczerze pokochała.

Toteż zasadniczy cel wyprawy na Kosów był utrzymany w ścisłej tajemnicy i mało kto o nim wiedział. Sądzę, że nie wiedział o nim również J. Szepetyński. Według E. Maksimowej, P. Proniagin nie chciał ujawniać tego postanowienia oddziałowi, gdyż uważał, że „nie sprzyjałoby to nastrojowi bojowemu”. Ponadto obawiał się, że „powiedzieliby niech sami się uwalniają”. Zdaniem P. Proniagina „bez broni wszystkich by Niemcy pozabijali. Jeśliby niektórzy przedostali się do lasu — tam by ich, wykończyli. Kto wtedy po lasach włóczył się — i bandyci, i maruderzy. Myślicie, że u nas ich nie było?” — mówił P. Proniagin. „A Żydzi w oddziale, oni już dla obcych mieszkańców lasów nie Żydzi, a ludzie Proniagina — A dla swoich? — Dla jednych — towarzysze broni, a dla drugich „żydy” (Żydzi)”¹⁸.

Trudno powiedzieć czy rzeczywisty, główny cel napadu na Kosów, wyrowadzenie Żydów, był znany dowódcom innych oddziałów partyzantskich, uczestniczących w tej zbrojnej akcji. Sądzę, że chyba nie był znany, gdyż nie wszędzie panował tak życzliwy stosunek do Żydów, jak w oddziale im. N. A. Szczorsa, chociaż i tu nie u wszystkich. Nie ma o tym celu żadnej wzmianki w jakimkolwiek znanym mi opracowaniu poza wyżej wymienionymi. Nie wspomina również o tym P. Proniagin w swojej książce *U samoj granicy*, w której podaje tylko szczegóły ustaleń z dowódcami współuczestniczących oddziałów, cele militarne i polityczne oraz, moim zdaniem, niezbyt dokładny przebieg napadu.

Według P. Proniagina napad na Kosów był dokładnie zaplanowany i zaakceptowany przez władze partyjne obwodu brzeskiego z udziałem przedstawicieli „antyfascystowskiego komitetu kosowskiego”: Nikołaja Fiodorowicza Trindy (1904-1944)¹⁹ i Konstantina Diemianowicza Tołoczki (1903-1943)²⁰. Ponoć dokonano dokładnego rozpoznania terenu garnizonu kosowskiego, sporządzono dokładny plan miasta, opracowano plan miejsca rozmieszczenia policji, „składów broni” i środków ogniowych. A na dwa dni przed napadem miała się odbyć narada dowódców trzech oddziałów: im. N. A. Szczorsa, dyslokowanego w Wołczich Norach, im. G. M. Dymitrowa, dyslokowanego w hutamichalińskich lasach i im. K. J. Woroszyło-

¹⁸ E. Maksimowa, *Żył li prawiednik...*

¹⁹ O nim: W. Maroz, *Los Mikalaja Tryndy*, [w:] *Pamięć. Iwacewicki rajon*, s. 234-235.

²⁰ O nim: M. Banasiewicz, *Iszła wajna narodnaja*, [w:] *Pamięć. Iwacewicki rajon*, s. 159.

wa, dyslokowanego w tychże lasach, z przedstawicielami partii, których udział tak mocno wszędzie w tym okresie jest przesadnie akcentowany. Na tej naradzie ponoć „rozpracowano szczegółowy plan rozgromienia wroga w mieście Kosowie”. Postanowiono zachować najściślej tajemnicę, a zadanie przekazać pododdziałom dopiero w marszu. Nakreślono, na jakim obszarze który oddział atakuje i jakie obiekty mają być zaatakowane. Ponadto postanowiono ustawić duże zapory przeciw ewentualnym oddziałom wroga, które by pośpieszyły z pomocą z kierunku Słonimia, Różany, Iwacewicz i Niechaczewa (stacji Kosowa Poleskiego). Postanowiono przerwać łączność z tymi miejscowościami oraz ustalić jednolite hasło dla wszystkich oddziałów. Zdecydowano też, że z oddziału im. N. A. Szczorsa w akcji weźmie udział 360 osób, a z pozostałych 120. Z oddziału im. G. M. Dymitrowa 70, a z oddziału im. K. J. Woroszyłowa tylko 50 osób. Dowództwo powierzono, jak wiadomo, lejtnantowi rezerwy (podporucznikowi) P. Proniagowi, dysponującemu największą siłą ludzką i ogniową. Pozycje wyjściowe zaproponowano zająć w nocy. Sygnałem do ataku miał być wystrzał armatni. Dzień ataku ustalono na 2 sierpnia 1942 roku²¹.

Wokół daty napadu na Kosów występuje pewne zamieszanie. W różnych pracach podaje się ją różnie. Dlatego też nie ma jej nawet na obelisku. I tak w książce *Bug w ognie* znajdujemy informacje, że „2 sierpnia partyzanci niezauważalnie podeszli do samego skraju miasta”²². S. Ruticz informuje, że „atakować Kosów dowództwo postanowiło wczesnym rankiem 2 sierpnia”²³. Również Z. Zimak podaje, że „akcja była wyznaczona na rano 2 sierpnia 1942 roku”²⁴. Natomiast J. Szepetyński w 1998 r. pisze, iż „w nocy 3 sierpnia 1942 r. zbudzono nas wszystkich. Ustawiliśmy się szybko do apelu”²⁵, ale już w 2002 r. pisze, że „2 sierpnia przed świtem alarm. Wszystkim szybko w pełnym rynsztunku bojowym, zbiórka”. A potem był marsz „z omijaniem wsi i pastwisk — pisze J. Szepetyński — przed wieczorem zatrzymaliśmy się. Odpoczynek. Do celu około 10 kilometrów. Dwugodzinny marsz. Rozkaz: o świcie atakujemy”²⁶. Również w opracowaniu *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada im. N.A. Szczorsa...* znajdujemy informację, że „w nocy z 2 na 3 sierpnia z trzech stron wdarli się do miasta”²⁷. I te ostatnie dwie wersje są najprawdźniejsze. Także w *Pamiaci iwace-*

²¹ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 43-44; tenże, *Dielo wsienarodnoje*, s. 220; S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, s. 99.

²² P. W. Proniagin, *Dielo wsienarodnoje*, s. 220.

²³ S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, s. 100.

²⁴ Z. Zimak, *Kosaŭskaje hieta...*

²⁵ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 45.

²⁶ Tenże, *Prigowor*, s. 63-64.

²⁷ *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada imeni N.A. Szczorsa brieskskoj oblasti*, [w:] *Pamiat'. Istoriko-dokumentalnaja chronika Bieriozowskogo rajona*, Mińsk 1987, s. 185.

wickiej znajdujemy informację, że napad na Kosów miał miejsce „w nocy na 3 sierpnia”, ale są tam też dane że „2 sierpnia”²⁸. Moim zdaniem, ponad wszelką wątpliwość napad partyzantów na Kosów Poleski miał miejsce o świcie w poniedziałek 3 sierpnia 1942 r. Potwierdzają to również starzy ludzie, którzy pamiętają, że napad miał miejsce tuż po odpuscie w Bielawiczach, odległych 5 km od Kosowa, bowiem co roku 2 sierpnia odbywa się tam nabożeństwo w cerkwi pod wezwaniem św. Ilji (Eliasa). Sądzę, że tę okoliczność partyzanci wzięli również pod uwagę, gdyż w czasie odpustu łatwiej można było niepostrzeżenie przetransportować na wozach cięższą broń i znaleźć się bliżej Kosowa.

Relacje P. Proniagina o przygotowaniach do napadu i jego realizacja zbyt pięknie brzmią, aby można je było uznać za prawdziwe. Jest tam ład i porządek oraz świetnie przygotowana akcja, a nade wszystko kierownicza rola partii. Niestety, relacje te są wspaniałe tylko na papierze, natomiast w konfrontacji z faktami w dużej mierze mijają się z prawdą.

Moim zdaniem już na samym początku popełniono poważny błąd oddając dowództwo akcji młodemu, zaledwie dwudziestosześcioletniemu człowiekowi, który sam prawdopodobnie nigdy w Kosowie nie był, za to prezentował stalinowski, lekceważący stosunek do jednostki. Uważam również, że mało kto z atakującego oddziału im. N. A. Szczorsa znał dobrze Kosów. Wprawdzie w 2002 r. J. Szepetyński podał, że z atakujących znał Kosów doktor A. Blumowicz, ponieważ ponoć kiedyś pracował w tutejszym szpitalu²⁹. Natomiast z całą pewnością dobrze znali Kosów partyzanci z oddziału im. G. M. Dymitrowa, zwłaszcza były oficer Armii Czerwonej, Bułgar Dmitrij Dmitrijew (naczelnik sztabu), który zanim uciekł do partyzantki, był kucharzem więziennym i policyjnym w mieście oraz Nikita Sielukow, który przed ucieczką był stróżem i dzwonnikiem w miejscowej cerkwi³⁰, kosowscy działacze partyjni oraz inni zbiegli z miasta czerwonoarmieści. Z tego oddziału raczej powinien pochodzić dowódca operacji, tym bardziej że im przypadło najtrudniejsze zadanie — atakowanie głównych sił okupacyjnych.

P. Proniagin wprawdzie miał wielu ludzi, ale tylko jedna z grup, zwana 54.³¹, była siłą bojową, gdyż tylko ona składała się z byłych żołnierzy Armii Czerwonej. Pozostałe trzy grupy: 51., 52. i 53. — to słabo wyszkolona, nie zaprawiona jeszcze w boju, zbieranina. Wielu z nich nigdy nie służyło

²⁸ M. Banasiewicz, *Iszła wajna narodnaja*, s. 153, 159.

²⁹ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 46. Nie znalazłem w żadnej innej publikacji, ani osoby, która potwierdziłaby, że A. Blumowicz kiedykolwiek tu pracował.

³⁰ D. S. Dmitrijew, *Naradżennje atrada. Z uspaminaŭ Dz. S. Dzmistryjewa*, [w:] *Pamjać. Iwacewicki rajon*, s.170.

³¹ Grupy numerowano od 51., aby wywołać wrażenie u wroga, że jest ich już tak dużo — P. W. Proniagin, *Dielo wsienarodnoje*, s. 218.

w wojsku. Byli to różni aktywiści partyjni i komsomolscy, młodzi ludzie ukrywający się przed wywózką na roboty do Niemiec oraz zbiegli z getta Żydzi, z których utworzono 51. grupę³². „Formalnie była ona międzynarodową, ale z powodu absolutnej większości — żydowską”³³. Skład poszczególnych grup kształtował się w liczbie 100-150 osób podzielonych na „wzwoody” (plutony, czy raczej kompanie)³⁴. Wydaje się, iż mimo to przekonanie wśród dowódców partyzanckich o łatwym zdobyciu Kosowa było powszechne. A to dlatego, że po tak dokładnym rozeznaniu musieli oni wiedzieć, iż w Kosowie nie ma liczego garnizonu okupacyjnego. W oparciu o informacje ludzi, którzy pamiętają tamte wydarzenia i swoją własną pamięć, garnizon okupacyjny w przededniu napadu na Kosów nie przekraczał liczby 65-70 osób. W jego skład wchodziło: „niemieckoję podrazdielienije pograniczników” (niemiecki pododdział pograniczników)³⁵, w sile 30-35 żołnierzy, nie więcej niż 5 żandarmów, 2 czy 3 oficerów niemieckich, tzw. Sonderführerów (do spraw gospodarczych) oraz około 20-25 policjantów różnych narodowości (Białorusinów, Polaków i nawet Rosjan). Podawana w publikacjach P. Proniagina i innych autorów liczba kosowskiego garnizonu okupacyjnego w sile 300 osób i nawet więcej, bo rzekomo zwiększona 1 sierpnia o dalsze 60 osób, lub nawet 400 osób³⁶ jest po prostu zwykłym kłamstwem propagandowym, które można byłoby zrozumieć w czasach okupacji, ale nie po jej zakończeniu.

Według relacji samego P. Proniagina na naradzie dowódców ustalono, że wystrzał armatni ma być sygnałem do ataku. A jak to się stało, że stał się on nie sygnałem, lecz od razu atakiem artyleryjskim kilkoma pociskami w określony cel? Nie wiemy czy wydanie rozkazu przez P. Proniagina „Po komiendaturie — ogoń!” („Na komendanturę — ogień!”)³⁷ było zawczasu uzgodnione z dowódcami innych oddziałów, czy była to jego samowolna decyzja? Uważam już za poważny błąd użycie armatniego wystrzału nawet jako sygnału, gdyż od razu postawiłoby to na nogi cały garnizon niemiecki. Natomiast oddanie rozkazu zaatakowania pociskami artyleryjskimi „komiendatury” uważam za czyn wręcz zbrodniczy. A to dlatego, że żaden zdrowo myślący człowiek nie odważyłby się na atakowanie pociskami artyleryjskimi małego budynku z pododdziałem Niemców czy policji w gęsto zaludnionej miejscowości, gdzie budynki ze śpiącą ludnością cywilną stoją jeden obok drugiego w odległości zaledwie paru metrów. Tym bardziej że nawet

³² J. Szepietinskij, *Prigowor*, s. 57-58. Grupie 51. poświęcono oddzielne opracowanie w języku jidysz autorstwa Sary Szner Niszmet, *Gapługa-ga-51*, 1990 r. Do pracy tej nie udało mi się dotrzeć.

³³ Por.: przypis 16.

³⁴ *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada...*, s. 185.

³⁵ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 44.

³⁶ Por.: tamże, s. 42, tenże, *Dielo wsienarodnoje*, s. 220; S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, s. 99-100; *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada...*, s. 185.

³⁷ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 43-44.

najzdolniejszy artylerzysta, jakim miał być Sasza — Aleksandr Szamanow³⁸ — nie jest w stanie trafić z bezbłędną dokładnością do celu z odległej o parę kilometrów „górkę busiażskiej”, skąd strzelano. Toteż pierwszy pocisk rozerwał się gdzieś około jednego z chutorów na skraju wsi Skuraty. Drugi przeleciał jakieś ok. 150 m nad „komiendaturą” i trafił w naszą oborę (ostatni budynek na głównej ulicy), wrywając dziurę i raniąc odłamkami krowę w wymię. Wyjmowałem potem te odłamki obciążkami i zamazywałem rany, nie pamiętam już czym. Po tym wybuchu wszyscy obudziliśmy się, matka wstała z łóżka i zaczęła wychodzić z sypialni do pokoju. W tym momencie następny pocisk uderzył w dom i rozerwał się ukosem w rogu okna z lewej strony, niemal naprzeciw wychodzącej z sypialni matki. Odłamki pocisku, szczątki ramy okiennej, szkło, gwoździe i kurz wszystko to runęło na matkę. Tylko Opatrzności trzeba zawdzięczać, że matka uniknęła śmierci, gdyż za nią w sypialni, gdzie spało też młodsze rodzeństwo, było pełno odłamków. I gdyby młodsza siostra czy brat tylko podnieśli głowy, zginęliby od tych odłamków. W niedużej odległości od okna stał stół, na którym leżał stos wypranej bielizny, Biblia i coś jeszcze, a za stołem na kanapie spał ojciec. Być może ta Biblia, w którą przez całe życie wierzył i ta bielizna uratowały mu życie, gdyż było tam mnóstwo odłamków. „Ranną Biblię” przechowuję do dziś jako domową relikwię. Pierwszy zerwał się ojciec i zaczął przeraźliwie krzyczeć, że ma poharatane plecy i pośladek. W tym momencie rozbudzony wbiegłem do tego pokoju z drugiej połowy domu, gdzie sam spałem, zobaczyłem jak slaniająca się matka z jękiem pada na podłogę. Cała jej twarz była zakrwawiona, włosy na głowie przesiąknięte krwią, w oczach pełno szkła, na ciele mnóstwo drobnych odłamków i nawet gwoździe powbijane główkami. Z piersi zaczęła sączyć się krew, matka zaczęła tracić przytomność, a na zewnątrz szalała ogłuszająca strzelanina. Trzeba było coś zrobić. Tym bardziej, gdy jakiś łobuz oddał strzał w kierunku naszego domu, a kula przebiła ścianę. Postanowiliśmy matkę przetaszczyć do piwnicy znajdującej się pod podłogą w korytarzu prowadzącym do kuchni. Udało nam się to z wielkim trudem, ponieważ nie było tam schodów, a tylko drabina. W piwnicy nie było na czym położyć matki. Gdy ojciec również ranny, ale lżej, trzymał matkę i starał się hamować krew, ja wyłaziłem na wierzch i powoli czołgając się znośliłem do piwnicy poduszki, pościel, wodę i opatrunki z domowej apteczki. W międzyczasie w piwnicy umieściliśmy też mego młodszego brata i siostrę.

Pierwszej pomocy medycznej udzielono matce dopiero po paru godzinach, gdy nastała cisza. Matka nie widziała na oczy. Pamiętam jak stare kobiety językami wylizywały z oczu odłamki szkła i czymś przemywały.

³⁸ Zob.: Foto A. Szamanow z działem, z którego wystrzał ciężko zranił moją matkę, [w:] *Bug w ognie*, fotografie.



Kosów Poleski. Dom Ludowy (1937 r.) Fot. Józef Szymańczyk

Z czasem przejrzała, ale potem przez całe życie miała kłopoty ze wzrokiem. Powoli goiły się rany, odłamki usunięto za wyjątkiem jednego, tego największego w wielkości nieforemnego grochu i najgroźniejszego dla zdrowia i życia, albowiem przebił on lewe płuco i tam się usadowił. Jeden centymetr dalej i matka by nie żyła, tak twierdzili lekarze. Po licznych konsultacjach medycznych poza Kosowem matka 21 września 1942 r. znalazła się na stole operacyjnym w Baranowiczach³⁹. Gdy jednak dowiedziała się, że lekarze nie są pewni powodzenia, bo operacja będzie dość skomplikowana, trzeba wyjąć dwa żebra, postanowiła zrezygnować z operacji i żyć z odłamkiem. I żyła, ale odłamek zawsze dawał o sobie znać przy zmianie pogody i bardzo utrudniał życie, gdy się zaczęła starzeć. Mam więc moralne prawo potępić bezmyślny rozkaz P. Proniagina. Ponadto, gdy mój ojciec jeździł z matką po lekarzach, na mnie spadł obowiązek opieki nad młodszym

³⁹ Dokument nr 1 (w języku rosyjskim):

Iwacewicze 11 VIII 42. Zaświadczenie. Niniejszym zaświadczam, że ob. Iwaniec Luba z m. Kosowa była ranna 3 VIII 42 r. Rozpoznanie choroby: Postrzał klatki piersiowej, rany szyi i ręk. Stan chorej należy uważać za ciężki. Lekarz powiatowy. D. Składzień [tłum. E. I.].

Dokument nr 2:

[U góry po lewej stronie odcisk pieczęci podłużnej z napisem w języku niemieckim i białoruskim]: I Stadtliche Po[liklinik] der Stadt Baranowi[sche] I Poliklinika g. Baranowicz. 21/IX Iwaniec 1942. Nr 782. [U dołu z lewej strony rysunek płuc, ze strzałką wskazującą umiejscowienie odłamka. U dołu z prawej strony opis w języku rosyjskim]: Rtg-skop[ia]. Z lewej od cienia wiązki naczyniowej ciało obce wielko[ści] ziarnka grochu nieregularnej formy. W pozostałym norma. Dr (odręczny nieczytelny podpis) [tłum. E. I.].

rodzeństwem, krową, psem, kurami i całym domem. W ten sposób P. Proniagin ukradł mi część mego dzieciństwa.

Rozkaz P. Proniagina mógł również zakończyć się tragicznie dla samych partyzantów. Oddział im. G. M. Dymitrowa, atakujący od strony cmentarza prawosławnego, mógł spotkać taki sam los, co moją matkę. Dom nasz stał bowiem naprzeciw tego cmentarza, nie więcej niż 50 m od cerkiewki cmentarnej, obok której znajdowało się stanowisko dowodzenia tego oddziału, a na skraju cmentarza leżeli przygotowani do szturm partyzanci.

Mieszkańcy Kosowa nazajutrz po ataku i dziś jeszcze ci, co żyją, zgodnie twierdzą, że gdyby nie strzały armatnie i głośny atak, partyzanci zdobyliby wszystkie punkty dyslokacji (policji, żandarmerii i niemieckiego pododdziału wojsk pogranicznych) bez jednego wystrzału. Przy odrobinie szczęścia można byłoby w nocy po cichu zdjąć wszystkie posterunki i wynieść Niemców w negliżu. A nawet gdyby doszło do potyczki, przy takim działaniu moment zaskoczenia miałby tu decydujące znaczenie. Z całą stanowczością twierdzą, iż garnizon okupacyjny był słabo zabezpieczony przed atakami z zewnątrz. Nie było widać specjalnych umocnień, czy poważnych zasieków kolczastych, pól minowych, itp.

Prawdą jest, że hałaśliwy atak partyzantów w pierwszej chwili „oszołomił przeciwnika i doprowadził do zamieszania”⁴⁰. Ale to musiało trwać bardzo krótko. Dobrze wyszkolona jednostka pograniczników w sile nie więcej niż pluton, ze starszych roczników, szybko zdołała zorganizować obronę. Również policja, mająca w swoich szeregach m.in. kilku byłych wytrawnych żołnierzy, szybko zdołała się zmobilizować. Tylko nacierający od strony cmentarza prawosławnego oddział partyzancki mógł się poszczycić większym sukcesem. Zdołał on opanować i podpalić zajmowany przez Niemców budynek przedwojennego Ośrodka Zdrowia Matki z Dzieckiem i przedszkola. Sadzę, że to tu zostało rannych kilku żołnierzy niemieckich, którzy jednak zdołali wycofać się, gdyż nic nie mówiono, aby jakikolwiek Niemiec został zabity. W piwnicy spalonego budynku Niemcy tuż po wkroczeniu składowali odbiorniki radiowe, które nakazano zdać wszystkim mieszkańcom miasta. Dziś miejsce to można zlokalizować na prawo od bramy wejściowej na cmentarz, gdzie obecnie stoją garaże.

Dalej partyzanci nie mogli podejść, gdyż silny ogień żołnierzy niemieckich od strony ich zakwaterowania — przedwojennego magistratu — uniemożliwiał im jakikolwiek ruch. Również policja broniła skutecznie dostępu do swojej siedziby zarówno od strony cmentarza, jak i od ulicy. Ustawiony w budynku leśniczego Kowalewicza (teraz stoi tu blok mieszkalny) karabin maszynowy zabijał każdego, kto tylko wychylił głowę w stronę ulicy Niepodległości (dziś T. Kościuszki). Otwarta przestrzeń na łączkę policyjną

⁴⁰ P. W. Proniagin, *U samej granicy*, s. 44.

(obecnie bloki) i dalej na stadion nie sprzyjała partyzantom z oddziału im. N. A. Szczorsa w przedarciu się, dlatego też dowodzący nimi P. Proniagin nie mógł się poszczycić poważniejszym sukcesem podczas napadu na Kosów. Wydaje mi się, że atakując miasto od strony północno-wschodniej nie napotkał on żadnego oporu Niemców czy policji, a do miasta wszedł bez jakichkolwiek przeszkód, bo ich tam nie było. Późniejsze przechwałki, że 51. grupa wdarła się do Kosowa jako jedna z pierwszych i wyróżniała się tam bohaterstwem⁴¹ są niczym nieuzasadnione. Wręcz odwrotnie, grupa ta zachowywała się raczej tchórzliwie, a nie bohatersko. To oni podpalili kilka stodoł (Pliskiewicza, Gurcewicza i in.) i rzucili kilka granatów do budynków i piwnic gdy, im się wydawało, że tam ukryli się Niemcy czy policjanci. Według P. Proniagina, „szczególnie zażarta walka rozgorzała w centrum Kosowa”⁴². Więcej informacji na ten temat znajdujemy we wspomnieniach J. Szepetyńskiego. Mianowicie w tekście polskim informuje on, że „nocą dotarliśmy do miasta, a nad ranem, kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyliśmy, że nasza droga miała biec przez getto”⁴³. Natomiast w tekście rosyjskim pisze tak: „I oto sygnał do ataku. Wszyscy razem biegniemy i jakoś nie zauważyliśmy, że nasz pluton biegnie przez terytorium getta”⁴⁴. Dziwne, od początku wiedział, że będzie biegł przez getto, a gdy się w nim znalazł, nawet nie zauważył, że biegnie przez getto. Jak to się mogło stać, że on zapomniał i nie zauważył, że biegnie przez getto? I dalej, w tekście w języku polskim: „Kiedy weszliśmy do getta, tamtejsi ludzie się przerazili. Ale kiedy usłyszeli, że rozmawiamy między sobą po polsku (sic!) i jidysz zawołali — Yiden — Yiden (Żydzi, Żydzi). Nie mieliśmy czasu na rozmowy z nimi”⁴⁵. Natomiast w tekście w języku rosyjskim ten sam epizod przedstawiony jest nieco inaczej. Gdy weszli oni do getta to zobaczyli „przeraźliwie przestraszone twarze — Żydzi nie zrozumieli co się stało. Być może słyszeli jak my między sobą krzyczeliśmy w jidysz. Wtedy oni do nas z wyciągniętymi rękoma: Yiden, Yiden! Ale nie mamy czasu, naprzód, do placu”⁴⁶. I znowu dziwnym się wydaje, że w tekście w języku polskim J. Szepetyński krzyczy do współtowarzyszy po polsku i po żydowsku. Natomiast we wspomnieniach w języku rosyjskim już tylko po żydowsku. Czyżby zapomniał, że krzyczał też po polsku? A może w tekście polskim wspomniał, że krzyczał po polsku tylko dlatego, żeby przypodobać się Polakom, o których potem w tekście rosyjskim niezbyt pochlebnie się wyraża⁴⁷. Wydaje mi się, że

⁴¹ E. Maksimowa, *Żył li prawiednik po prawdzie...*, S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, s. 102.

⁴² P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 45.

⁴³ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 46.

⁴⁴ Tenże, *Prigowor*, s. 64.

⁴⁵ Por.: przypis 43.

⁴⁶ J. Szepietinskij, *Prigowor*, s. 64.

⁴⁷ Tenże, tamże, s. 12, 21-22; Por.: tenże, *Drabina Jakubowa*, s. 53 i tenże, *Prigowor*, s. 69.

partyzanci między sobą porozumiewali się przede wszystkim po rosyjsku, chociaż ich grupa składała się głównie z Żydów, ale dowódca grupy Jefim Fiedorowicz⁴⁸, chociaż był też Żydem, ale rosyjskim, mógł przecież nie znać jidysz i języka polskiego. Toteż mam poważne wątpliwości czy podczas napadu posługiwali się oni głównie językiem jidysz, czy tylko niektórzy z nich i czy resztki ukrywających się Żydów w zlikwidowanym w czerwcu 1942 r. getcie od razu na ich widok powychodziła z kryjówek. Sądzę że nie, tym bardziej że oni przez getto tylko szybko przebiegli, a nie weszli, jak sam sobie J. Szepetyński przeczy. Następnie J. Szepetyński pisze, że „opuszciliśmy getto, przybliżyliśmy się do placu i zaczęliśmy strzelać w kościół. Dostaliśmy rozkaz, aby wstać i biec”⁴⁹. Ten sam epizod w tekście w języku rosyjskim J. Szepetyński przedstawia następująco: „Do nas otworzono ogień. Zalegliśmy, odpowiadamy ogniem. Nadszedł rozkaz prowadzić ogień do wieży kościoła, skąd nawała ogniowa”⁵⁰. Informacje podane przez J. Szepetyńskiego nie są dokładne, albowiem na ich drodze ataku nie stał kościół, lecz cerkiew. Ponadto nikt z wieży — dzwonnicy cerkiewnej — do nich nie strzelał, a tym bardziej z oddalonej o kilkaset metrów wieży kościelnej. Strzelano natomiast z najwyższego budynku mieszkalnego w Kosowie, z tzw. domu Dworeckiego, gdzie na samej górze policja urządziła swego rodzaju bunkier, a na dole działała mleczarnia. Dom ten stał jakieś 60-70 m od cerkwi na dawnej ul. Kościelnej, obecnie zwanej Lenina. Jeżeli damy wiarę J. Szepetyńskiemu, że partyzanci strzelali „w kościół”, a nie w bunkier, będzie to świadczyło, iż strzelali na oślep. W takim razie J. Szepetyński wystrzelał nadaremnie aż „120 pocisków”⁵¹. Należy przypuszczać, że to ten bunkier nastreczył P. Proniaginowi najwięcej kłopotów. Ponoć nawet rozkazał przenieść punkt dowodzenia i armatę do centrum miasta, aby ostatecznie rozprawić się z przeciwnikiem⁵². W 2002 r. J. Szepetyński dalej z uporem twierdził, że po pewnym czasie „wszystko jedno z kościoła nadal otworzyli ogień”. Ale teraz według niego już z rozkazu samego głównodowodzącego „Proniagina dostaliśmy się na górę. Wziąć żywymi! Wzięliśmy. Okazał się miejscowym. Zaprowadziliśmy do domu i tam wszystkich...”⁵³ Wojna rządzi się swoimi prawami”. Smutne jest to, że J. Szepetyński chwali się wymor-

⁴⁸ O nim: F. Fiedorowicz był zawodowym oficerem w stopniu starszego lejtnanta. W latach 1939-1940 brał czynny udział w wojnie sowiecko-fińskiej. Za „męstwo i odwagę” w tej wojnie został odznaczony orderem „Krasnogo Znamieni” („Czerwonego Sztandaru”). Zginął 13 września 1942 r. w ataku na dziesiątą służę Kanału Ogińskiego, niedaleko miasteczka Telechany, bronioną przez kompanię 18. Łotewskiego Ochotniczego Batalionu Policji – P. W. Proniagin, *Dielo wsienarodnoje*, s.223-224.

⁴⁹ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 46.

⁵⁰ Tenże, *Prigowor*, s. 64.

⁵¹ Tenże, *Drabina Jakubowa*, s. 47.

⁵² P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 45; tenże, *Dielo wsienarodnoje*, s. 220.

⁵³ J. Szepietinskij, *Prigowor*, s. 65.

dowaniem Bogu ducha winnej rodziny policjanta, wzorując się na stalinowsko-hitlerowskiej zbiorowej odpowiedzialności, nazywając to, wydumanym przez siebie, prawem wojny, w czasie której akurat prawo zabraniało zabijania ludności cywilnej⁵⁴. Jednakże informację powyższą, jak i wiele innych, należy zaliczyć w poczet fantazji autora, jego samochwalstwa i nieprawdy. Gdyby tak było, wiedziałoby o tym całe miasto. Znane byłoby nazwisko policjanta i jego zamordowanej rodziny. Byłby pochówek i mogiły na cmentarzu. Prawdopodobnie „w pewnym momencie strzały ucichły”⁵⁵, a policja sama chyłkiem, znanymi im przejściami, opuściła bunkier. Według P. Proniagina „w końcu strzelanina ucichła. Garnizon całkowicie rozgromiony, miasto w naszych rękach”⁵⁶. Również S. Ruticz podaje, że „strzelanina urwała się nagle”, a „ulice szybko ożywiły się. Ludzie wychodzili ze swoich ukryć, gawędzili z partyzantami, opowiadali o okrucieństwach okupantów”. Autor sugeruje, że mieszkańcy niemal z entuzjazmem odnieśli się do napadu partyzantów na miasto. A to nie prawda! Radości nie było widać, a raczej strach, przynębienie i smutek. Większość mieszkańców długo nie wychodziła z domów na ulice w obawie utraty życia. Entuzjastycznie partyzantów przede wszystkim powitali ukrywający się Żydzi, gdyż dla nich był to jedyny ratunek. Do chorej wyobraźni czy raczej do świadomego kłamstwa należy zaliczyć dalszą informację autora, że „koło domów leżały trupy faszystów. Niektórzy z nich byli tylko w bieliźnie”⁵⁷. Stanowczo twierdzą, że nie miało to miejsca w Kosowie podczas napadu partyzanckiego. Owszem było dużo trupów, ale partyzantów, pozostawionych przez wycofujących się współtowarzyszy ataku. J. Szepetyński również twierdził, że chociaż to było ciężkie natarcie, to „zwycięstwo było całkowite”. Partyzanci rzekomo „zajęli posterunek policji, niemiecką komendanturę, garnizon litewski”, „wokół było dużo trupów, a Litwini na kolanach błagali, czegoś podobnego on nie widział, ci sami, co tak bohatercko rozprawiali się z bezbronnymi w getcie”⁵⁸. W tekście w języku polskim tenże bardziej dosadnie pisze „W oczach Litwinów widziałem ten sam strach, który przedtem czaił się w naszych. Trzęśli się. Ja również byłem w takiej sytuacji, ale nie zachowywałem się tak jak oni — nie padałem na kolana i nie błagałem o litość”⁵⁹. Z całą stanowczością twierdzą, że to, co podaje J. Szepetyński nie miało miejsca w czasie napadu na Kosów, albowiem żadnego litewskiego garnizonu wtedy w Kosowie nie było. Litwini przebywali w Kosowie, a konkretnie w Mereszowszczyźnie, tylko

⁵⁴ Por.: Regulamin dotyczący praw i zwyczajów wojny lądowej, załączony do II Konwencji Haskiej z 18 października 1907 r., Dziennik Ustaw RP, 1927, nr 21, poz. 101.

⁵⁵ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 46.

⁵⁶ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 45

⁵⁷ S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, s. 103.

⁵⁸ J. Szepietinskij, *Prigowor*, s. 64.

⁵⁹ Tenże, *Drabina Jakubowa*, s. 47.

w czasie likwidacji getta⁶⁰. Ponadto w żadnym ze wspomnień ani P. Proniagina, ani S. Ruticza nie ma nawet najmniejszej wzmianki o obecności Litwinów w czasie napadu na Kosów. Nie ma takowej również w innych opracowaniach oraz we wspomnieniach starszych ludzi. I ja niczego takiego nie pamiętam. Zdaniem P. Proniagina „w walce o Kosów partyzanci zlikwidowali ponad 80 Niemców i policjantów, 11 wzięli do niewoli. Znacznej części faszystów udało się zbiec do Iwacewicz. Niewielka grupa policjantów próbowała ukryć się w szpitalu. Ale ta przebiegłość im nie pomogła”⁶¹. Informacja ta całkowicie jest niezgodna z prawdą. Cyfra ponad 80 zabitych Niemców i policjantów w czasie napadu na Kosów jest wyssana z palca, gdyż przewyższałaby stan liczbowy całego garnizonu okupacyjnego w mieście. Wydaje mi się, że P. Proniagin wykazuje słabość do okrągłych cyfr, zwłaszcza do cyfry „80”, gdyż w innych miejscach swojego wspomnienia również nimi chętnie się posługuje. Np. „około 80 policjantów wyjechało w stronę Dubitowa”, czy „na polu walki pozostało 80 trupów wroga”⁶² itd. Natomiast w innym opracowaniu podaje on, iż w Kosowie podczas napadu partyzanci „hitlerowców i policjantów zlikwidowali ponad setkę”⁶³. Wyraźnie widać, że P. Proniagin rzuca cyframi nie faktycznymi, a dowolnymi, jakie mu przychodziły do głowy. Takie zaokrąglone cyfry można znaleźć również w Dzienniku Dowództwa Oddziału im. G. M. Dymitrowa, w którym jest taka oto notatka: „2-3 sierpnia. W boju zostało zdobyte m. Kosów. Zniszczony został garnizon (60 Niemców i 150 policjantów)”⁶⁴. Dziwić się wypada, że nikt do tej pory nie zakwestionował takiej dowolności i naigrzywania się z prawdą.

Wręcz nieprawdopodobnie brzmi też informacja o wzięciu przez partyzantów do niewoli „11 Niemców i policjantów”. Gdyby tak było faktycznie, znane byłyby ich nazwiska, a w mieście o tym by się mówiło. Nieprawdziwa jest też informacja o ucieczce „znacznej części faszystów do Iwacewicz”. W czasie napadu nie było takiej możliwości, ani konieczności, a po napadzie — wyjechali sami.

Szczegółowego wyjaśnienia wymaga sprawa policjantów, którzy ponoć udając chorych próbowali ukryć się w szpitalu. Tę suchą wzmiankę P. Pronia-

⁶⁰ Przybyli oni ze Słonimia w liczbie dwunastu wybrańców z czterdziestu ochotników – Arkadij Sielena, mieszkaniec wsi Skuraty, w rozmowie z autorem dn. 6 maja 2005 r.; To zapewne niektórzy z nich w latach 80. przyjeżdżali z Litwy samochodami wraz z synami na to miejsce straceń. Rozkopywali oni zbiorową mogiłę zamordowanych Żydów w poszukiwaniu złota i biżuterii, połykaną najczęściej lub zaciskaną w dłoniach przez Żydówki w ostatniej chwili przed zagładą – Leonid Łuszczuk, mieszkaniec Mereczowszczyzny, w rozmowie z autorem dn. 20 lipca 1996 r.

⁶¹ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 45.

⁶² Tamże, s. 31, 101.

⁶³ P. W. Proniagin, *Dielo wsienarodnoje*, s. 221.

⁶⁴ *Pamiat. Iwacewicki rajon...*, s. 182.

gina, uzupełniają wspomnienia J. Szepetyńskiego. Przedstawia on dwie nieco różniące się wersje tego samego wydarzenia. W pierwszej, napisanej w języku polskim, powiada, że „kiedy dotarliśmy do budynku policji jeden z mieszkańców powiedział nam, że policjanci uciekli do szpitala. Pobiegliśmy tam. Doktor A. Blumowicz, który również brał udział w tej operacji, wiedział, gdzie jest szpital, gdyż tam pracował. W szpitalu było wielu chorych. Ale wtedy jeden z Rosjan przeszedł przez szpital i wskazywał palcem: „Ta osoba jest chora, ta nie”. Wszystkie te, które uznał za zdrowe, były wyciągane z łóżek i zabijane na miejscu, bez zbędnych ceregieli. Byli to policjanci na usługach hitlerowców, chroniący się w szpitalu”⁶⁵. I znowu trudno jest w to uwierzyć, co pisze J. Szepetyński. Do jakiego budynku policji oni dotarli? Prawdopodobnie chodzi tu o bunkier w domu Dworeckiego, który raptem zamilkł, a w którym już nie było policjantów, gdy do niego dobiegli partyzanci. Nie daję wiary aby ktokolwiek z mieszkańców Kosowa powiedział, że policjanci uciekli stąd do szpitala odległego o ponad jeden kilometr. Skąd ten ktoś mógł wiedzieć dokąd policjanci będą uciekać? Czyżby zwierzali mu się, dokąd uciekają? Szpital bowiem leżał za szkołą, bliżej lasu, tuż przy obecnej szosie Grodno — Pińsk. Trudno też uwierzyć, aby uciekający policjanci chcieli tam się schronić, skoro partyzanci nacierali ze wszystkich stron i skąd policjanci mogli mieć pewność, że partyzantów tam nie zastaną. Do szpitala chciał jak najszybciej dostać się doktor A. Blumowicz, dowódca drużyny sanitarnej z 51. grupy i towarzyszący mu partyzanci, gdyż to oni zawczasu zaplanowali zdobycie medykamentów. I gdy bez przeszkód przedostali się do szpitala, w rzeczywistości zastali tam jednego tylko policjanta, który znalazł się tu jeszcze przed napadem i oczekiwał na operację nóg. Rozpoznali go po fotografii przyniesionej ze sobą i brutalnie go zabili na łóżku wyniesionym za trupiarnię z płonącego szpitala. Starzy mieszkańcy zgodnie twierdzą, że był nim zaledwie osiemnastoletni Ziunio — Józef Michniewicz. Pochodził on z chutoru Hrinkowszczyzna we wsi Mizgiery. Gdyby partyzanci zabili w szpitalu więcej rzekomo ukrywających się policjantów, nie pozostałoby to bez echa w mieście, byłyby znane nazwiska, pochówki i mogiły na cmentarzach, a tak wiadomo tylko, że przybyli z Hrinkowszczyzny rodzice Ziunia pochowali go tego samego dnia na pobliskim kosowskim cmentarzu rzymskokatolickim, gdzie do dziś znajduje się jego zaniedbana mogiła⁶⁶.

Jeszcze bardziej nieprawdopodobnie brzmi druga wersja, przedstawiona przez J. Szepetyńskiego w języku rosyjskim. Różni się ona zasadniczo od

⁶⁵ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 46-47.

⁶⁶ O nim: Ziunio był jednym z siedmiu synów państwa Michniewiczów, ostatnim synem bliźniakiem, ochrzczonym zaocznie przez prezydenta RP Ignacego Mościckiego (1867-1946), od którego też otrzymał specjalną wyprawkę i książeczkę oszczędnościową z pewną sumą pieniędzy – Jelena Bakijewicz mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 2 maja 2005 r.

wersji napisanej w języku polskim, gdyż pojawia się w niej jeszcze postać głównodowodzącego P. Proniagina oraz podana jest liczba rzekomo zabitych policjantów. Zgodnie z tą wersją J. Szepetyński relacjonuje: „Wbiegamy do szpitala, wszystkie łóżka zajęte przez chorych, jak się mówi, „leżącego nie bije się”, i wtedy wszedł dowódca oddziału Proniagin z miejscowym i tamten wskazuje: ten chory, tamten chory, a ten policjant. Okazuje się, ponad dziesięciu policjantów od razu udało chorych. Załatwiono porachunki na miejscu”⁶⁷. I to nie może być prawdą, gdyż „ponad dziesięciu policjantów” stanowiłoby połowę wszystkich policjantów w Kosowie. Ponadto mam poważne wątpliwości, czy w ogóle w tym szpitalu był P. Proniagin, ponieważ trudno mi uwierzyć, aby głównodowodzący akcją pozostawił dowodzenie w czasie walki i udał się do szpitala położonego na skraju miasta, z którego nie nacierał. Przecież grupa partyzantów, w której znajdował się doktor A. Blumowicz udała się do szpitala nie w pościgu za policjantami, lecz po medykamenty, które, jeśli wierzyć J. Szepetyńskiemu, były ponoć głównym powodem ataku na Kosów. Należy przypuszczać, że gdy niespodziewanie zastali tam chorego policjanta i go zabili, wpadli na pomysł, aby zwielokrotnić liczbę rzekomo tam ukrywających się policjantów i tym samym niejako usprawiedliwić się w oczach dowództwa z rabunku lekarstw z cywilnego szpitala i jednocześnie wykazać, że z powodu ukrywających się policjantów postąpili oni słusznie podpalając kosowski szpital. Zdziawiający jednak jest to, że informacja o obecności P. Proniagina w szpitalu kosowskim w czasie napadu pojawiła się dopiero w 2002 r. czyli wtedy, gdy już głównodowodzący nie żył. Sam natomiast P. Proniagin o tym fakcie nigdzie nie wspomniał. Czyżby J. Szepetyński chciał chytrze powiedzieć, że nic się nie działo bez wiedzy i zgody P. Proniagina? W ten sposób zrzucił na niego odpowiedzialność za spalenie cywilnego szpitala w Kosowie. Następnie J. Szepetyński w swoich wspomnieniach informuje, że „jakiś czas po ataku, kiedy zdobyliśmy łup w postaci lekarstw i amunicji (sic!), pewien młody mężczyzna podszedł i spytał czy jestem Żydem. „Dlaczego pytasz?” — „Chcę z Tobą pójść” — odpowiedział. — „Więc chodź” — zgodziłem się. Złapał mnie za rękę i nie odszedł już od mego boku. Nazywał się Dow Jewszycki⁶⁸. Uwolniliśmy getto (sic!). Niektóre rodziny poszły z nami do lasu. Większość udała się do miasteczek i miast położonych poza granicami Trzeciej Rzeszy. Słyszeli, że tam nie zabijają Żydów”⁶⁹. Informacja ta jest bardzo bałamutna. Nie daję wiary, aby partyzanci w czasie napadu na Kosów zdobyli jakąś ilość amunicji. Sądzę, że raczej jej dużo stracili, strzelając

⁶⁷ J. Szepietinskij, *Prigowor*, s. 64-65.

⁶⁸ Przeżył on wojnę w radzieckich oddziałach partyzanckich. Wcielony w 1944 r. w Pińsku do Armii Czerwonej „po jakimś czasie” zdezerterował. Dalsze jego losy nie są nam znane – J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 47.

⁶⁹ Tamże, s. 47; tenże, *Prigowor*, s. 65.

często na oślep. A już zupełną nieprawdą jest informacja o „uwolnieniu getta”. Niezorientowany czytelnik czytając relację J. Szepetyńskiego ma prawo uważać, że „uwalniając getto” dokonał on wraz ze swoimi współtowarzyszami niebywałego wyczynu, za co w środowisku żydowskim winien być uważany za zasłużonego bohatera. A tymczasem w dawnym getcie, o którym tu mowa, znajdowały się tylko niedobitki z ok. 4 500 Żydów, zamieszkałych w Kosowie w latach 1939-1941. Według W. Sawickiego, większość Żydów zabito 25 czerwca 1942 r. w Mereczowszczyźnie w specjalnie wykopanym rowie, w wyrobiskach żwiru i w zagłębieniach po działach wycofanych wraz jednostką Armii Czerwonej. Następnie kilkudziesięciu ocalałych z tego pogromu Żydów, których początkowo nie prześladowano, po uśpieniu ich czujności rozstrzelano na terenie żwirowni 20 lipca 1942 r., jakieś 150 metrów od ubojni⁷⁰. Obecnie miejsce to można zlokalizować mniej więcej powyżej skrzyżowania drogi Grodno — Pińsk z drogą prowadzącą do Niechaczewa. Mimo to w Kosowie nie wszystkich Żydów zdołano zlikwidować. Niektórym udało się ocalić dzięki wyjątkowemu szczęściu i pomocy niektórych sąsiadów. Według Z. Zimaka, „kiedy udało się nam uratować po pierwszej masowej akcji, chowaliśmy się w piwnicach i pod osłoną nocy podkradaliśmy się do warsztatu skórzanego majstra [Jefima] Rusieckiego” (1897-1943)⁷¹, którego później w 1943 r. tuż przed Wielkanocą rzymskokatolicką za udzielenie schronienia i pomocy Żydom rozstrzelano nieopodal pałacu Pusłowskich w Mereczowszczyźnie. Wraz nim rozstrzelano jego żonę Julię (ur. 1908), córki Ninę (ur. 1933) i Zinaidę (ur. 1940) oraz syna Konstantina (ur. 1935). Wtedy również rozstrzelano Jana Poleszczuka (ur. 1898) z żoną Zofią (ur. 1895) i synami Lucjanem (ur. 1928) i Ryszardem (ur. 1930) — moim najserdeczniejszym kolegą z dzieciństwa. Rozstrzelano ich pod zarzutem udzielania przez nich pomocy partyzantom, a w rzeczywistości żeby zająć ich dom na mieszkanie komendanta policji Nikołaja Demszy⁷². Niektórzy mieszkańcy Kosowa z narażeniem życia pomagali Żydom wydostać się z miasta. I tak, Nikołaj Bakijewicz (ur. 1920) razem z Nikołajem Żukiem wywieźli z Kosowa Berka Słonimskiego z żoną i dwojgiem dzieci na chutor, jakieś dwa kilometry za wieś Łazowcy. Sam N. Bakijewicz wywiózł brata Berka Słonimskiego – Szłomę (Szłomkę) wraz z żoną do wsi Sielec, niedaleko Berezy Kartuskiej. Obaj bracia potem znaleźli się w obozach koncentracyjnych, przeżyli wojnę i kilka lat temu odwiedzili swego dobroczyńcę⁷³.

⁷⁰ W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto rodzinne*, Nowy Targ 1991, s. 178; O zbrodni na terenie żwirowni szczegółowo – Anton Trinda, *Nielzia dielit' narod*, „Iwacewicki Wiesnik” z dn. 29 sierpnia 2003, nr 70-72, s. 4.

⁷¹ Z. Zimak, *Kosaŭskaje hieta...*

⁷² K. Kikun, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 12 sierpnia 2005 r.

⁷³ Szłomka odwiedził Kosów około 7 lat temu sam, bez rodziny, a następnie przyjechał z synem, synową i sześcioma wnukami. W obu wypadkach był gościem Bakijewiczów. Por.: W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 178-179.

Natomiast wuj mój Stefan Łąsko (1907-1980), późniejszy więzień Gułagu, zabrał z domu swoich teściów Aleksandry (1891-1946) i Władimira (1885-1979) Hrybów brzemienną Różę Radkiewicz i przewiózł ją do hutamichałińskich lasów wewnątrz furmanki z sianem. Przewożąc ją musiał przejechać przez punkt graniczny tzw. poszerzonych Prus Wschodnich. Gdyby się to wydało, wszyscy zostaliby rozstrzelani na miejscu. Róża Radkiewicz, rodem z łódzkiej rodziny żydowskiej, w partyzantce urodziła córkę, przeżyła wojnę. W Polsce Ludowej była dyrektorem Filmu Polskiego i żoną Stanisława Radkiewicza (1903-1987) — pierwszego ministra Bezpieczeństwa Publicznego w PRL. W różny sposób pomagali Żydom i inni mieszkańcy Kosowa. Niektórzy z nich jak np. nasi sąsiedzi, małżeństwo Jelizawieta (1911-1999) i Władimir (1905-1964) Tryndowie proponowali ukryć dzieci sąsiada, kowala Żyda Mojszy, ale on odmówił. Ponadto część młodych Żydów uratowano przed pogromem za wiedzą samego Langego — komendanta Kosowa, szefa SD. Wykazywał on wyjątkowe zamiłowanie do koni. Kazał nawet wybudować minihipodrom tuż za obecnym sklepem „Chosztowary”, na którym godzinami ćwiczył jazdę konną przez pokonywanie przeszkód. A młodzi Żydzi potrzebni mu byli do obsługi tych koni i innych robót. Jednakże ocalałych z pogromów Żydów w czasie napadu partyzantów na Kosów było już w mieście niewielu i mówienie o „uwolnieniu getta” jest informacją wyolbrzymioną, nie odpowiadającą prawdzie.

Bardziej rzeczowo przedstawia te wydarzenia Z. Zimak, który mówi: „Wyszliśmy z ukrycia, gdy rozległy się wystrzały z armaty, seria z karabinów maszynowych, kiedy zobaczyliśmy gwiazdki czerwone na furazerkach wojowników — partyzantów”⁷⁴. Wtedy właśnie stanęła przed nimi realna możliwość opuszczenia Kosowa i znalezienia bezpiecznego ukrycia. Według Z. Zimaka, „po rozgromieniu garnizonu za pozwoleniem dowództwa im. N. A. Szczorsa razem z 200 Żydami udaliśmy się do Wołczich Nor”⁷⁵. Jak widać, Z. Zimak również uwierzył w rozgromienie garnizonu okupacyjnego w Kosowie, ponieważ dowiedział się o tym z opowiadań cudzych, sam tego nie mógł widzieć, gdyż znajdował się w innej części miasta. I chociaż też używa zaokrąglonej liczby „200” uchodzących Żydów, to jednak jego relacje o wyjściu Żydów z Kosowa można uznać za bliższe prawdzie. Fakt ten potwierdził również P. Proniagin w swoich wspomnieniach. A mianowicie podał on, że razem z jego oddziałem „do lasu udało się dużo ludności cywilnej”, nie wspominając ani słowem, iż byli to Żydzi, których liczbę, sądząc celowo zawyżył. „W lesie żyli oni potem w oddzielnych obozach pod ochroną partyzantów”⁷⁶. Jednak większość z nich zginęła już podczas wielkiej obławy represyjnej.

⁷⁴ U większości zabitych partyzantów nie widziałem nakrycia głowy, a tam gdzie ono było, nie widziałem „czerwonych gwiazdek”.

⁷⁵ Z. Zimak, *Kosaŭskaje hieta...*

⁷⁶ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 45.

Balamutną informację o „rozbięciu żydowskiego getta i wyzwoleniu około 200 Żydów” podczas napadu znajdujemy również w opracowaniu *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada imieni N. A. Szczorsa...*⁷⁷. Sądzę, że ma ona ten sam rodowód.

Ponadto J. Szepetyński w swoich wspomnieniach obraża mieszkańców Kosowa, gdy pisze, że oni „nienawidzili komunistów, a Niemców witali kwiatami. W podziękowaniu Niemcy nagradzali ich oddawaniem żydowskiego mienia”⁷⁸. Skąd J. Szepetyński o tym wie, skoro w Kosowie był zaledwie niecałe trzy godziny? Z pewnością w Kosowie byli tacy, co nienawidzili komunistów, mając ku temu uzasadnione powody, ponieważ zesłano na „resocjalizację” na Sybir lub do Kazachstanu często najbliższych członków ich rodzin lub zabrano do więzienia ojca czy brata. Jednak większość mieszkańców Kosowa zachowywała bierność w tej sprawie. A tak naprawdę w czasie okupacji w Kosowie pozostali tylko nieliczni komuniści, większość uciekła wraz z wycofującymi się oddziałami Armii Czerwonej (np. Stanisław Radkiewicz) lub ukrywała się poza miastem. Nikt też Niemców nie witał kwiatami. Widocznie J. Szepetyńskiemu pomylił się przemarsz wojsk niemieckich w 1941 r. z powitaniem wojsk sowieckich w 1939 r., w którym on zapewne brał czynny udział⁷⁹. Chociaż ja pamiętam pewien mały epizod z kwiatami. Miało to miejsce w 1941 r. wtedy, gdy pewnego razu od strony wsi Skuraty przybył do Kosowa w szyku bojowym zwiad małych czołgów niemieckich. Posuwając się ostrożnie, jeden z nich zatrzymał się w pobliżu elektrowni, a drugi nieco w tyle po przeciwnej stronie budynku Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, gdzie mój ojciec, Daniel Iwaniec (1897-1961), przed 1939 r. był kierownikiem; pozostałe czołgi stanęły na zakręcie drogi do wsi Skuraty. Wówczas mała gromadka dzieciaków zbliżyła się do tego czołgu, co stał przy spółdzielni i z ciekawością wpatrywała się w niego. Przez pewien czas była cisza, ale widocznie gromadka ciekawskich dzieciaków rozbroiła czujność Niemców, gdyż po chwili jeden z nich wychylił się z czołgu, rozglądając się ostrożnie dookoła. I wtedy właśnie jakaś 5-6-letnia dziewczynka, która akurat trzymała w ręku bukiet polnych kwiatów, podała go Niemcowi. To zapewne uspokoiło go, gdyż zaraz potem wyszedł z czołgu, uśmiechnął się i próbował chyba dowiedzieć się od nas czy w mieście nie ma sowieckich żołnierzy. Sądzę, że takie epizody mogły mieć miejsce, ale na pewno w Kosowie mieszkańcy nie witali kwiatami wkraczających do miasta Niemców, nie było bram tryumfalnych jak w 1939 r., ani powitania z chlebem i solą. Za co bowiem mieli ich witać? Czy za to, że centrum miasta, bez uzasadnionego powodu, zniszczyli pociskami zapalającymi?

Nie słyszałem też o nagradzaniu mieszkańców żydowskim mieniem.

⁷⁷ *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada...*, s. 186.

⁷⁸ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 47.

⁷⁹ Tenże, *Prigowor*, s. 13.

Jakim mieniem? Co lepsze zrabowali Niemcy lub wcześniej Żydzi wymienili na żywność u okolicznej ludności, przeważnie wiejskiej. Nie można wykluczyć, że policjanci coś przynosili swoim rodzinom lub krewnym. Ale żeby Niemcy nagradzali mieszkańców za ich przychylność do nich, czegoś podobnego nie było. A tak naprawdę, większość ludzi w Kosowie nie okazywała w stosunku do Niemców ani zbytnej przychylności, ani też zbytnej wrogości.

Wycofując się z miasta partyzanci spalili szkołę podstawową, zlokalizowaną tuż za kapliczką rzymskokatolicką Matki Bożej (do dziś stojącą), wyrządzając tym samym krzywdę dzieciom kosowskim. W wyniku tego, gdy jesienią w 1942 r. władze okupacyjne powróciły z Iwacewicz do Kosowa, z konieczności szkołę umieszczono w żydowskim budynku szkolnym zwanym w mieście Tarbudem, położonym w zasadzie na starym cmentarzu żydowskim. A po wyzwoleniu, gdy zaistniała konieczność powiększenia szkoły, wręcz w barbarzyński sposób postanowiono zlikwidować to miejsce pochówku Żydów i wybudować na nim nową szkołę, którą ukończono w 1958 r. Zbudowana na „kościach Żydów kosowskich” szkoła czynna jest do dziś, ale wkrótce zostanie przeniesiona do nowego budynku, położonego w pobliżu rzeczki Mutwicy, dawniej zwanej Busiażką⁸⁰. Obecnie na terenie spalonej szkoły i dużego szkolnego boiska sportowego budowane są domki jednorodzinne. Partyzanci spalili też, nieco dalej położony, zbudowany w 1922 r., cywilny szpital powiatowy⁸¹, pozostawiając ludność miasteczka i okolic bez jakiegokolwiek opieki lekarskiej, gdyż w następstwie lekarze wyjechali z Kosowa. Szczególnie odczuła to moja ciężko ranna matka, ponieważ zachodziła konieczność wożenia jej do innych, niekiedy bardzo odległych miast, co w czasie okupacji niemieckiej na Białorusi nie było łatwe.

Ciekawe dlaczego o tym wyczynie nie ma nawet najmniejszej wzmianki w którymś ze wspomnień partyzantów, biorących udział w napadzie na Kosów? Wprawdzie J. Szepetyński dobrze zapamiętał zdobycie medykamentów przez doktora A. Blumowicza w szpitalu kosowskim, co uważam za pospolity rabunek, ale jednocześnie jakoś dziwnie zapomniał wspomnieć o podpaleniu tegoż szpitala i o wynoszeniu przez służbę szpitalną chorych z łózkami z płonącego już budynku. Wszystko wskazuje na to, że szpital podpalili partyzanci z 51. grupy oddziału im. N. A. Szczorsa, dowodzonej przez wspomnianego już zawodowego oficera Jefima Fiodorowicza, do której właśnie należeli doktor A. Blumowicz i J. Szepetyński, obsługujący karabin maszynowy. A jeżeli J. Szepetyński sam brał udział w tym niegodzi-

⁸⁰ Zob.: O budowie tej szkoły, bez „barbarzyńskiej” lokalizacji – G. Szastało, ... *I czyby staraja szkoła nie pustowała*, „Iwacewicki Wiesnik” z dn. 19 sierpnia 2005, nr 110-112, s. 4.

⁸¹ W. Tołkaczow, *Zdrawochranienije rajona naczało s Kossowskoj bolnicy*, „Iwacewicki Wiesnik” z dn. 14 stycznia 1998 r., s. 3.

wym wyczynie, to powinien raczej wstydzić się, a nie przechwalać się i strugać bohatera przed swoimi rodakami, którzy zapewne ślepo wierzą w jego bohaterstwo.

Ci sami partyzanci nie poprzestali na spaleniu szpitala, bowiem po drodze, w odwrocie, spalili jeszcze budynek nadleśnictwa w lesie Hulinie, pozostawiając po sobie w pamięci mieszkańców jak najgorsze wrażenie i przykre wspomnienie.

Inny wycofujący się oddział podpalił smolarnię zlokalizowaną po prawej stronie drogi prowadzącej do Niechaczewa, na skraju lasy Jeławasty.

A jakie straty ponieśli partyzanci atakujący Kosów? P. Proniagin w jednym ze wspomnień podaje, że „straciliśmy siedmioro zabitych i kilku rannych”. To samo mówi S. Ruticz⁸². W opracowaniu *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada imieni N. A. Szczorsa...* podano, że „nasze straty wynosiły 6 zabitych i 14 rannych”⁸³. W innym zaś miejscu P. Proniagin informuje, że „doniesiono mi, że atakując punkt ogniowy (chodzi tu zapewne o bunkier w domu Dworeckiego — E. I.) zginął dowódca oddziału, młodszy sierżant Karim Ismałłow, zginął jeszcze jeden mój kolega pułkowy. Zginęli Aleksander Tomilin, Stiepan Blumenfeld⁸⁴, Andriej Niejdierow. Szturmując magistrat (miejsce dyslokacji niemieckich pograniczników — E. I.), zginął dowódca drużyny z oddziału im. G. M. Dymitrowa, Władimir Worobiow, żołnierze Wasilij Kuźniecowa i Jewgienij Isajew”⁸⁵. Natomiast J. Szepetyński w tekście polskim podaje, że „mieliśmy mniej niż dziesięciu zabitych i rannych”⁸⁶, a w tekście rosyjskim, że „zabitych i rannych około dziesięciu osób, w tym nasz komisarz oddziału Dawid Blumenfeld”⁸⁷. Dane te absolutnie nie odpowiadają prawdzie. Są one albo celowo zaniżone, albo, co jest bardziej prawdopodobne, świadczą o tym, że P. Proniagin, chociaż był głównodowodzącym, to jednak słabo orientował się w stratach poniesionych przez inne oddziały biorące razem z nim udział w napadzie na Kosów. Osobiście widziałem co innego. Rano, gdy ucichły strzały, a moją ranną matką zaopiekowała się babcia i sąsiadki, pobiegłem z chłopakami obejrzeć miejsca walk. Widziałem w rowie przed dawnym magistratem zmęczonych i przygnębionych żołnierzy niemieckich w pełnym rynsztunku bojowym, kilku z nich było obandażowanych oraz policjantów wcale nie uciekających w panice. Na skraju cmentarza przeważnie w zbożu lub w ściernisku (obecnie prawa strona cmentarza) widziałem co najmniej dziesięciu zabitych partyzantów.

⁸² P. W. Proniagin, *Dielo wsienarodnoje*, s. 221; S. P. Ruticz, *Na wieki junyje*, s. 102.

⁸³ *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada...*, s. 186.

⁸⁴ Stiepan Blumenfeld to Dawid Blumenfeld. Jak widać P. W. Proniagin unika żydowskich imion.

⁸⁵ P. W. Proniagin, *U samoj granicy*, s. 44.

⁸⁶ J. Szepetyński, *Drabina Jakubowa*, s. 47.

⁸⁷ Tenże, *Prigowor*, s. 65.

Wszyscy byli w cywilnych ubraniach, obok żadnego z nich nie było broni. Jednego z nich szczególnie zapamiętałem, leżał z na pół spalonym snopem żyta tuż przy wysokim płocie (chciał go bez benzyny naiwnie podpalić!), niemal na samym rogu tuż przy elektrowni. Płot ten otaczał teren więzienny. Zbudowano go w 1940 r. wraz z budynkiem więziennym i siedzibą NKWD, gdzie w czasie napadu znajdowała się policja. Natomiast Jewgienij Okowity (ur. 1938), mieszkaniec Kosowa uważa, że widział wraz z ojcem 13 zabitych partyzantów po obu stronach ulicy Niepodległości (obecnie T. Kościuszki). Ponadto widział on jak ranny w szyję partyzant Wania (imię ustalono według listu znajdującego się w jego „woreczku z owsem”) błagał, aby go dobito. Wówczas policjant Nikołaj Gorbacz, rodem ze Starożowszczyzny, kopnął go butem w głowę. Idący z nim komendant policji Nikołaj Demsza powiedział, aby go zostawił w spokoju, gdyż „dostał on już za swoje”⁸⁸. Jewgienij Okowity powiada, że to bolesne zdarzenie na zawsze pozostało mu w pamięci.

P. Proniagin gołosłownie twierdził, że „Niemcy, którzy przybyli z Iwacewicz po odejściu partyzantów szybko zebrali trupy swoich wojaków i natychmiast ruszyli do siebie”⁸⁹. Informacja ta jest wręcz kompromitująca. Po prostu wierzyć się nie chce, że P. Proniagin, partyzant otoczony taką aureolą sławy, może wypisywać takie niedorzeczności. Po pierwsze, Niemcy nie musieli przyjeżdżać z Iwacewicz, bo byli na miejscu. Po drugie, ani Niemcy, ani policja nie zbierali swoich trupów, ponieważ ich prawie wcale nie było. W czasie całego napadu zginęło w boju tylko dwóch policjantów: Ilja Możejko i Walentin Jakowlew — syn emigranta rosyjskiego. Ponadto zginął nieco przygłuchły Józef Krawcewicz z ulicy Kościelnej (dziś Gorkiego). Wynosił on na szyi chomąto z palącej się stodoły. Wtedy kula trafiła go prosto w usta. Należy zatem przypuszczać, że nie była ona przypadkową, gdyż na dworze była już dobra widoczność. Prawdą natomiast jest to, że z rozkazu Niemców i policji kazano Nikołajowi Żukowi z ulicy Niepodległości zebrać pozostawione trupy partyzantów na furmankę i pochować je w naprędcie nieco pogłębionym okopie, tuż za płotem więziennym naprzeciw elektrowni. Obecnie można to miejsce zlokalizować z lewej strony przed wejściem na cmentarz prawosławny⁹⁰. I jak tu można mówić o rozgromieniu garnizonu faszystowskiego!

Pozostawienie przez partyzantów zabitych współtowarzyszy na pastwę okupantów nie przynosi chwały, zwłaszcza dowództwu oddziałów im. G. M. Dymitrowa i im. K. J. Woroszyłowa. Uważam to za czyn haniebny i godny potępienia. Nie daję wiary, aby tych, co widziałem w zbożu obok cmenta-

⁸⁸ Jewgienij Okowity, mieszkaniec Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 10 sierpnia 2005 r.

⁸⁹ W. P. Proniagin, *U samej granicy*, s. 45; Powtarza to samo S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, s. 104.

⁹⁰ Por.: przypis 88.

rza, nie można było zabrać ze sobą skoro bez przeszkód zabrano ich broń i rzeczy osobiste. Tym bardziej, że nikt ich, wycofujących się, nie atakował, gdyż garnizon okupacyjny do wycofania się partyzantów nie opuszczał pozycji obronnych w tym miejscu. W świetle powyższych faktów uważam, że to partyzanci, a nie Niemcy i policja, ponieśli ogromne straty w ludziach. Teraz trudno dokładnie ustalić jakie. Sądzę jednak, że straty partyzantów sięgały kilkudziesięciu zabitych i rannych.

Głównodowodzący P. Proniagin podaje, że ok. godziny 10⁰⁰ zaczęli się oni wycofywać po rzekomym „rozbiciu wroga”, w obawie przed pojawieniem się w każdej chwili większych sił nieprzyjaciela. Tym bardziej że, jak twierdził, „nad miastem pojawiły się niemieckie samoloty, które rozpoczęły ostrzeliwanie ich z karabinów maszynowych”⁹¹. Informacja ta jest również bałamutna i nieprawdziwa. Sądzę, że zaczęli się oni wycofywać już znacznie wcześniej. Na niebie nie było ostrzeliwujących miasto samolotów, ale gdzieś około 12 godziny w południe pojawił się tylko jeden niemiecki samolot, który krążył chwilę nad miastem i odleciał, nie oddając ani jednego strzału. Możliwe, że samolot ten ostrzeliwał ich, ale gdzieś poza miastem. Do fantazji należy też zaliczyć rzekomo zdobyte przez nich po walce „100 karabinów, 12 automatów, 3 karabiny maszynowe. Zabrane magazyny z gotowymi hamburskimi materiałami dla obuwia”. Ponoć też „wzięli dużo manufaktury, 12 maszyn do szycia, bydło, koni belgijskich i prostych”⁹². Nic podobnego nie miało miejsca. Sądzę, że w Kosowie w ogóle nie było ciężkich koni belgijskich, widziałem takowe, ale u Niemców w Iwacewiczach. Nie sądzą również, by wycofujący się partyzanci gnali ze sobą jakieś większe stado bydła. Nie było go ani u Niemców, ani policji. A mieszkańcy nie pamiętają, aby im wtedy partyzanci zabrali jakieś zwierzęta domowe. Możliwe, że zabrali kilka koni czy jedną lub dwie krowy. Tym bardziej, że partyzanci musieli się śpieszyć w obawie przed ewentualną pogonią sił represyjnych. Natomiast nie wykluczam, że wycofując się zabrali oni ze sobą kilka maszyn oraz część surowców, ukrytych w zakładzie skórzanym państwa Rusieckich.

Władze okupacyjne poważnie potraktowały niespodziewaną, brawurową, choć słabo rozpracowaną i chaotyczną akcję partyzantów i widocznie uznały, że mogą oni ponownie zaatakować miasto i to w bardziej przemyślny sposób, wyciągając odpowiednie wnioski ze swego — w gruncie rzeczy poza wyprowadzeniem Żydów — niepowodzenia. A ponieważ miasto nie stanowiło jakiegoś ważnego punktu strategicznego, nie przebiegał przez nie ważny szlak komunikacyjny, nie było tu też żadnych zakładów przemysłowych o strategicznym znaczeniu i in., postanowiły czasowo ewakuować się

⁹¹ P. W. Proniagin, *U samej granicy*, s. 45.

⁹² *Iz istorii otdielnogo partizanskogo otriada...*, s. 186.

do odległych o 14 km Iwacewicz, nakazując jednocześnie przeniesienie tam wszystkich urzędów. Z całą stanowczością twierdzą, że Niemcy i policja z Kosowa tchórzliwie nie uciekali do Iwacewicz ani w czasie napadu, ani po napadzie, jak sugerują niektórzy autorzy publikacji⁹³. Opuścili oni Kosów z rozmysłem, bez paniki. W Iwacewiczach, znajdujących się na głównej trasie komunikacyjnej Brześć — Baranowicze — Mińsk, władze okupacyjne z Kosowa mogły czuć się bezpieczniej, gdyż stacjonowały tu liczne jednostki wojsk niemieckich. Ponadto, wydaje mi się, chciano również dokładniej przyjrzeć się poczynaniom partyzantów w opuszczonym mieście oraz dowiedzieć się, jak na ich obecność będzie reagować miejscowa ludność.

Wraz z opuszczającą miasto policją i żandarmerią od razu wyjechała pewna liczba ludności cywilnej. Byli to przede wszystkim członkowie rodzin policjantów, urzędnicy i ich rodziny oraz początkowo nieliczna grupa osób, która miała różne powody, aby obawiać się partyzantów. Natomiast jednostka niemieckich wojsk pogranicznych udała się w kierunku Różany za granicą powiększonych Prus Wschodnich.

W mieście zapanował bezrząd, okres chaosu i samowoli. Nie jest prawdą, że „partyzanci ponad miesiąc, aż do dużej oblawy we wrześniu 1942 r., trzymali w mieście swoją komendanturę”⁹⁴. Gdyby tak było, to mieszkańcy Kosowa wiedzieliby o niej, mieliby wówczas do kogo zwrócić się o pomoc (ze skutkiem lub bez) i obronę przed grabieżą i morderstwami dokonywanymi w mieście. Ludność w mieście była nękana zarówno w dzień, jak i w nocy. Szczególnie noce były pełne trwogi, niepokoju i niepewności o życie. Można przypuszczać, że nie wszyscy nękający ludność Kosowa byli partyzantami ze wspomnianych wyżej oddziałów partyzanckich. Część z nich mogła rekrutować się z marginesu społecznego z okolicznych wiosek lub z band utworzonych z pospolitych złodziei i kryminalistów, wypuszczonych z więzień w czasie działań wojennych. Ponieważ jedni i drudzy nic nie dawali mieszkańcom Kosowa, a tylko brali, trudno było przeciętnemu człowiekowi ich rozróżnić. Wszystkich traktowano jednakowo jako partyzantów. Toteż wielu ludzi bardziej obawiało się takich partyzantów niż Niemców.

Przeważnie pojawiali się oni w nocy w 10-15-osobowych grupach. Wpadając do domów i grożąc bronią wyrwanym ze snu ludziom zabierali odzież, żywność, a często wszystko, co pod rękę im popadało. Jedną z takich band dobrze zapamiętałem. Byli małowówni, ubrani w kapelusze, a rabowane u nas rzeczy ładowali do worków. Z jednym z nich zetknąłem się osobiście, gdy ten zaczął wkładać do worka moje jedyne spodnie (jedenastoletniego chłopca!), wiszące na krześle nieopodal łóżka. Z płaczem zerwałem się z pościeli i rzuciłem się na niego, wrywając z wielkim trudem spodnie

⁹³ S. P. Ruticz, *Nawieki junyje*, s. 88.

⁹⁴ P. W. Proniagin, *U samej granicy*, s. 45.

z jego rąk, które od razu szybko wciągnąłem na siebie. Podobnych wizyt było więcej, gdyż nasz dom stał ostatni na skraju głównej ulicy. Dalej za domem były już tylko pola, a naprzeciw zapuszczony cmentarz prawosławny i dwie drogi, jedna wiodąca do wsi Skuraty, a druga do wsi Bielawicze. Ponadto przy domu znajdowała się studnia, z której często korzystali przechodnie.

Podobnych rabunkowych wizyt zaznało wielu innych mieszkańców Kosowa. Fotografą Józefa Szymańczyka (1909-2003) w krótkim czasie „odwiedzono” aż siedmiokrotnie. Za każdym razem coś zabrali, przeważnie interesował ich sprzęt fotograficzny. I gdyby nie wyjechał on do Słonimia, to nie miałby ani jednego aparatu fotograficznego i pozostałby bez narzędzi pracy⁹⁵.

Wielkim wstrząsem dla całego miasteczka były wydarzenia, jakie miały miejsce w nocy z 15 na 16 sierpnia 1942 r. Wówczas grupa partyzantów zabiła kilku mieszkańców Kosowa. Różnie są tłumaczone te wydarzenia, ale niemal wszyscy ich świadkowie zgodnie twierdzą, że niektórych z nich zabili młodzi Żydzi, byli mieszkańcy Kosowa, którym udało się ocaleć z pogromu. Należy przypuszczać, że chodziło tu o jakieś osobiste porachunki sięgające niekiedy odległych czasów i być może również czasów okupacji. Zabito wtedy Iwana Dylko, przedwojennego listonosza. Najpierw go obrabowali i pobili, a po paru godzinach wrócili i zastrzelili w sieniach własnego domu. Różnie mówiono o powodach tego zabójstwa. Najczęściej powtarzała się wersja, która mówi, że Żydzi mieli do niego pretensje o to, iż jakoby przed wojną wyjmował on z listów dolary, przesyłane im przez krewnych z Ameryki. Według mieszkanki Kosowa Fiedory Greckiej zabił go Żyd Walański, który mieszkał przed wojną obok poczty. Zabito również Czapskiego — przedwojennego kierownika szkoły powszechnej oraz Nikołaja Kornijewskiego — rzeźnika, właściciela zakładu masarskiego przed wojną. Jelena Bakijewicz (ur. 1918) — mieszkanka Kosowa — twierdzi, że zabił go Nikita Sielukow, który u niego mieszkał, zanim uciekł do lasu. Ponadto zabito byłego policjanta Grigorija Honczaruka, którego jakoby miała zwabić do przyjazdu z Iwacewicz jego dziewczyna — pielęgniarzka Nela — sowietka, jak ją nazywano. Według tejże Jeleny Bakijewicz, zabił go partyzant D. Dmitrijew. Największe oburzenie w mieście wywołało jednak zabójstwo Witolda Żalisa (1905-1942), który przed wojną był mechanikiem w młynie żydowskiego właściciela Jewszyckiego. Według Edwarda Żalisa (ur. 1938), syna zamordowanego, mieszkańca wsi Niechaczewo, jego ojca zabili synowie Jewszyckiego strzelając mu w plecy po uprzednim podstępny wywołaniu go z domu pod pretekstem przyniesienia pasów młyńskich. Wydaje mi się, że jeden z dwóch braci Jewszyckich, Dow, nie mógł brać

⁹⁵ J. Szymańczyk, *Jestem fotografem*, „Konteksty”, R. 47:1993, s. 62.

udziału w tym zabójstwie, gdyż w tym czasie powinien się on znajdować w oddziale N. A. Szczorsa wycofującego się na wschód. Dokładnych powodów zabójstwa nikt nie podaje. Jedni twierdzą, że był on Litwinem i kojarzył się im z mordercami Żydów w Mereczowszczyźnie. Inni natomiast twierdzą, że w czasie okupacji W. Żalis nie traktował byłych właścicieli młyna tak, jak się oni tego spodziewali. W. Żalis osierocił czwórkę małych dzieci: córki Lucję (ur. 1936) i Irenę (ur. 1940) oraz synów Edwarda (ur. 1938) i Zygmunta (ur. 1942). Na jego pogrzeb wylegli niemal wszyscy mieszkańcy Kosowa, a płacz i rozpacz żony oraz dzieci wstrząsnęły całym miastem. Ceremonia pogrzebowa odbyła się na cmentarzu prawosławnym w obrządku wschodnim, gdyż księdza rzymskokatolickiego w Kosowie nie było; ks. Albin Rojsza (1900-1942) został wcześniej zamordowany przez Niemców i policję. Po nikczemnym zabójstwie W. Żalisa liczni zacni, zdolni i poczciwi ludzie opuścili Kosów. Wielu z nich nigdy tu nie powróciło. Wyczyn ten mocno zaszkodził reputacji partyzantów. Ponoć nie pozostało to bez echa w dowództwie oddziałów partyzanckich. Według krążących pogłosek sprawcy tych zabójstw zostali ukarani. W jaki sposób i kiedy — nie wiem.

Partyzanci przebywali w Kosowie nie tylko w nocy. Chodzili po mieście i w dzień, w młynie mieli zboże oraz systematycznie podpalali budynki użyteczności publicznej i te, które stały puste, opuszczone przez właścicieli, którzy wyjechali do Iwacewicz lub do innych miast. W tym okresie spalono niemal wszystkie domki przedwojennych pracowników starostwa w Mereczowszczyźnie. Wtedy również spalono domek Tadeusza Kościuszki. Nie wszystkie budynki partyzanci sami podpalali. Starzy mieszkańcy twierdzą, że część budynków na ich polecenie podpalały trzy kosowskie kobiety. Jedną z nich była ponoć znana w Kosowie kurtyzana Rybkowa.

Niekiedy bywało tak, że w jednym końcu miasta znajdowali się partyzanci, a w drugim policja przybyła samochodami z Iwacewicz. Obie strony nie atakowały się, czasem tylko dla postrachu puszczano serię z karabinu maszynowego w kierunku przeciwnika. Trzeba przyznać, że partyzanci dysponowali doskonałym wywiadem, gdyż często dokładnie wiedzieli o której godzinie i kiedy do miasta ma przybyć policja. Wówczas, gdy byli w mniejszej grupie, popędzali młynarza lub w pośpiechu opuszczali miasto.

Tylko jeden raz udało mi się widzieć partyzanta ubranego w wojskowy mundur, gdy pewnego razu ktoś zapukał do nas do drzwi. Była już noc, ale jeszcze nikt nie spał. Drzwi otworzył ojciec, a do domu wszedł wysoki mężczyzna w oficerskim mundurze Armii Czerwonej. Towarzyszyła mu młoda dziewczyna — sowietka, jak się okazało nauczycielka z jednej z okolicznych wsi. Ojciec zetknął się z nią już wcześniej, gdyż pracując w inspektoracie szkolnym w latach 1939-1941 wypłacał jej pensję. Ponadto był z nimi jeszcze jakiś mężczyzna po cywilnemu. Przybysze zostali poczęstowani kolacją, jeżeli dobrze pamiętam, jajecznicą na słoninie i świeżym chlebem.

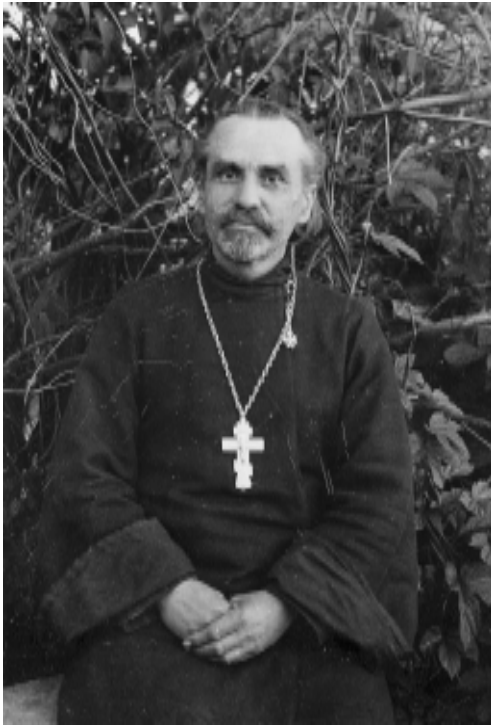
Następnie oficer na propozycję ojca zmienił bieliznę, założył ojcowską, a swoją pozostawił. Rozmowy przebiegały w bardzo przyjemnej atmosferze, po czym z uśmiechem i uściskami dłoni przybysze opuścili nasz dom i udali się w nieznanym kierunku. Spotkanie to utkwiło w mojej pamięci jako jedyne pochlebne wspomnienie z pobytu partyzantów w Kosowie.

Napad partyzantów na Kosów nie był wyczynem odosobnionym na Białorusi. Od wiosny 1942 r. aktywizacja partyzantki sowieckiej na tym terenie stopniowo zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, przybierając niekiedy charakter operacji wojskowych na zapleczu frontu, do których władze okupacyjne nie były zupełnie przygotowane. Dotychczasowe metody policyjne były niedostateczne, co widać na przykładzie Kosowa. Toteż przy zwalczaniu partyzantki zastosowano dyrektywę Adolfa Hitlera nr 46, która nakazywała traktować walkę z partyzantką za sprawę najwyższej wagi, podobnie jak działania na froncie. Dowództwo powierzono Heinrichowi Himmlerowi, któremu przekazano do dyspozycji wszystkie rezerwy wojsk Wehrmachtu, SS i policji w celu rozbicia ruchu partyzanckiego przed początkiem zimy. Stosownie do tej dyrektywy postanowiono w okresie od 21 sierpnia do 21 września 1942 r. przeprowadzić pierwszą wielką akcję pacyfikacyjną pod kryptonimem „Sumpffieber” („Malaria”) pod dowództwem Höhere SS-und Polizeiführera (wyższego dowódcy SS i policji) Jeckelna⁹⁶.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie hałaśliwy napad na Kosów z użyciem działa, w rezultacie czego władze okupacyjne opuściły chwilowo miasto, oraz wyolbrzymianie przez partyzantów rzekomego ich sukcesu, Kosów nie znalazłby się w kręgu zainteresowań dowództwa akcji pacyfikacyjnej, która omal nie doprowadziła do wielkiej tragedii mieszkańców tego spokojnego, leżącego na uboczu miasteczka.

Tak więc wczesnym rankiem, któregoś pogodnego wrześniowego dnia 1942 r. (dokładnej daty nie pamiętam), gdzieś około godziny 8 rano do miasta od strony Niechaczewa (stacji kolejowej Kosów Poleski) i in. wjechała kolumna wozów z esesmanami. Otoczyli oni miasto i przyległe pola. Wszystkich bez wyjątku mieszkańców miasta z dziećmi i starcami wyciągnięto z mieszkań i spędzono około 10 rano na stadion (właściwie na boisko piłkarskie). Z pól ściągano ludzi pracujących przy wykopkach ziemniaków czy wykonujących inne prace polowe, często odrywając od koni i pługów. Zgromadzonych na stadionie mieszkańców pilnowali esesmani, traktując ich początkowo z wielką surowością. Nie wolno im było ani siedzieć, ani wstać, tylko leżeć pod lufami ustawionych naprzeciw karabinów maszynowych. W tym czasie inni esesmani przeszukiwali domy i zabudowania gospodarcze, poszukując ewentualnie ukrywających się ludzi oraz broni. Strzelali do uwiązanych psów, gdy nie mogli wejść do jakiegoś budynku. W ten

⁹⁶ J. Turonek, *Białoruś pod okupacją niemiecką*, Warszawa 1993, s. 150-151, 154.



Ks. Wasilij Antonik. Fot. Józef Szymańczyk

sposób zginął mój ulubiony pies Bobik.

Nie ulegało wątpliwości, że dowództwo ekspedycji karnej traktowało spędzoną ludność jako sympatyzującą i współpracującą z sowiecką partyzantką. Wszystko wskazywało na to, że esesmani mieli zamiar rozprawić się z prokomunistyczną — ich zdaniem — ludnością, o czym mogły świadczyć ustawione w pogotowiu na głównej ulicy T. Kościuszki (obecnie 3. Fiewrała) i na ulicy Niepodległości (teraz T. Kościuszki) 12 dużych aut przykrytych plandekami, co niedwuznacznie wskazywało, że Niemcy nosili się z zamiarem wywiezienia zgromadzonej na stadionie ludności poza miasto i rozprawienia się z nią, podobnie

jak to uczyniono z Żydami kosowskimi. Niemcy żądali wydania komunistów oraz Żydów z rodzin mieszanych, którym udało się zbiec tuż przed likwidacją getta. Zdaniem W. Sawickiego, znający język niemiecki Aleksander Kurecki (1895-1946), sąsiad mego dziadka Józefa Łąsko (1869-1944) i nauczyciel, pan Strażecki, usiłowali przekonać dowódcę oddziału karnego, że spędzeni na stadion ludzie nigdy nie byli aktywistami komunistycznymi, nie współpracują z partyzantką sowiecką i nie są źle ustosunkowani do władz niemieckich⁹⁷. Jednakże decydującą rolę w tej tragicznej sytuacji odegrał „batuszka” Wasilij Antonik, ksiądz prawosławny (1895-1972), który w sutannie i z krzyżem na piersi przysięgał, że w mieście nie ma aktywistów komunistycznych. Towarzyszył mu inny duchowny prawosławny, hieromonich ze wsi Mizgiery, którego esesmani przyprowadzili na stadion z młyna, do którego on akurat w tym dniu przyjechał mlec zboże⁹⁸. Zdaniem Katarzyny Kikun (ur. 1926) Niemcy mieli swego tłumacza i to za jego pośrednictwem ks. W. Antonik długo przekonywał dowództwo ekspedycji karnej, a następnie pobłogosławił krzyżem spędzoną ludność i odszedł; „gdyby nie on, wszystkich pobiliby”⁹⁹. Oczywiście, ks. W. Antonik kłamał; w Kosowie

⁹⁷ W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 187.

⁹⁸ Jelena Bakijewicz, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 8 sierpnia 2005 r.

⁹⁹ K. Kikun, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 5 sierpnia 2005 r.

byli aktywiści komunistyczni, choć nie tak liczni, jak wyobrażali to sobie Niemcy. Później, gdy „batuszce” zarzucono, że będąc duchownym kłamał, oświadczył: „Jeżeli kłamiesz dla uratowania człowieka niewinnego, nie grzeszysz”, a on przecież ratował przede wszystkim niewinnych. Nie umniejszając zasług A. Kureckiego i Strażckiego w sposobie przekonywania esesmanów twierdząc, że do świadomości Niemców najbardziej docierały stwierdzenia duchownego prawosławnego, gdyż oni doskonale wiedzieli, że władze komunistyczne na Białorusi przed wybuchem wojny tępiły duchowieństwo prawosławne i zamykały cerkwie. Toteż dla nich on mógł być najbardziej wiarygodnym przedstawicielem spędzonej na stadion ludności.

Przeprowadzone rozmowy przyhamowały zamiary dowództwa ekspedycji karnej, ale nie całkowicie je przekonały, gdyż pomimo wszystko Niemcy odczytali listę 12 zakładników, sporządzoną przez Iwana Żuka (1907-1970) — jak utrzymują mieszkańcy — rzekomych komunistów czy kosowskich aktywistów. Byli to: Olga Bogdusiewicz (1906-1993), Paweł Dylko (1905-1980), Anton Pliskun (1898-1967), Iwan Krawcewicz (1905-1992), Maria Słusznik, Władimir Turkiniewicz i inni.

Z listy tej 11 osób Niemcy wywieźli do Niechaczewa i umieścili w baraku otoczonym drutami kolczastymi. We wsi tej znajdowało się dowództwo grupy pacyfikacyjnej dla okolicznego terenu. Następnie przewieźli ich do wsi Zaciszje i umieścili w stodole z widocznym zamiarem spalenia ich żywcem. Dwunastą osobą, wyczytaną na stadionie, była moja matka, Luba Iwaniec (1906-1995), której w tym czasie nie było w Kosowie. Na listę zakładników dostała się ona chyba dlatego, że w latach 1939-1941 była radną Rady Miejskiej. Do tej rady została wybrana z rekomendacji szkoły, która chciała mieć swego bezpartyjnego przedstawiciela w organach miejskich. Większość nauczycieli w szkole była przyjezdna, a potrzebny był ktoś, kto wywodził się z miejscowej ludności. Matka spełniała prawie wszystkie kryteria, jakie były wymagane w tym czasie: była „tutejszą”, wywodziła się z niezamożnej rodziny, władała językiem białoruskim, polskim i rosyjskim. Mimo to, będąc nauczycielką młodszych klas podstawowych w kosowskiej szkole dziesięcioletniej, stale miała zatargi z kierownictwem szkoły i władzami partyjnymi za swoje przekonania religijne i czynny udział w nabożeństwach, co w tamtych czasach uważane było za karygodne.

Nie wiem dokładnie co zdecydowało, że siły represyjne nie zdecydowały się na dokonanie zbiorowego mordu na zgromadzonej na stadionie ludności cywilnej. Ustawione naprzeciw karabiny maszynowe przerażały spędzoną ludność. Nie było żadnych szans ucieczki, chociaż dwóm chłopcom, Siergiejowi Filipowiczowi (ur. 1930) i Michajłowi Pliskiewiczowi (1928-1999), udało się ta sztuka. Wymknęli się oni korytem rzeczki Mutwicy i ze strychu stodoły Filipowicza obserwowali przebieg zdarzeń, ponieważ do domu bali się wrócić.

Zachowanie esesmanów było bardzo surowe, choć były wyjątki. W miarę upływu czasu niektórzy z nich stawali się bardziej pobłażliwi, zwłaszcza wtedy, gdy dość szczegółowe rewizje nie przyniosły rezultatów. Nie znaleziono bowiem w mieście ani broni, ani ukrywających się podejrzanych osób. Według K. Kikun, niektórzy esesmani rozumieli język polski lub mówili po czesku. Dlatego też trudno uwierzyć, aby bez ich zgody Ihnatij Hryb mógł wydostać się ze stadionu i przejść przez rzeczkę Mutwicę, dojść do swego domu, położonego na ulicy Kościelnej i wyjąć z gorącego pieca chleb, a następnie powrócić bez przeszkód z bochnem świeżo upieczonego chleba¹⁰⁰. Nie sprzeciwiali się też, gdy tym chlebem zaczął obdarzać dzieci i starców. W innym końcu spędzonych na stadion mieszkańców esesmani bez przeszkód puścili Jelizawietę Trindę do domu po jedzenie dla dzieci. Przyniosła ona wówczas chleb i „kaszę kartoflaną”, którą trzymała w piecu chlebowym¹⁰¹. Zaskakujące było też zachowanie jednego z esesmanów, gdy naprzeciw niego stanął 4,5-letni Jewgienij Okowity i zaczął z zazdrością przypatrywać się jak on je zupę z menażki. Niemiec nie wytrzymał wzroku dziecka, przerwał jedzenie, przywołał jego matkę, której podał swoją menażkę z zupą i kazał z niej nakarmić dzieci¹⁰². W. Sawicki w swojej pracy pisze, że w tym samym czasie „podczas rewizji u jednego z mieszkańców znaleźli w schowkach rozebraną na części i schowaną przed partyzantami harmonię”. A gdy wieczorem powrócili ze stadionu do domu, „harmonię zastali na zaścielonym łóżku”. Znaczyło to, że ktoś ją złożył i na niej grał. Brak podania nazwiska właściciela harmonii znacznie podważa autentyczność informacji i pozwala przypuszczać, że W. Sawickiemu przede wszystkim zależało na zwróceniu uwagi na zachowanie esesmanów w porównaniu z zachowaniem partyzantów, przed którymi należało chować różne przedmioty w obawie przed grabieżą. Sam W. Sawicki zauważa jednak, że był to „odosobniony przypadek”¹⁰³. Pozostali esesmani zachowywali się dość brutalnie. Po powrocie ze stadionu wielu mieszkańców zastało swoje mieszkania mocno zdemolowane. Ponadto rozpędzanych do domu mieszkańców wielu esesmanów biło, nie szczędząc nawet staruszek. Osiemdziesięcioletnią Jelenę Śleźnik, słabą, schorowaną staruszkę, esesmani bili nahajką, pokrzykując „co, nie chcesz iść do domu!” Przerażona staruszka, na pół żywa, ledwo dowlokła się do domu i od razu padła na kolana przed ikoną, zalewając się łzami wołała: „Boże, co się stało. Matka z ojcem mnie nigdy nie bili, a co się teraz ze mną dzieje na starość!?”¹⁰⁴

Moim zdaniem akcja w Kosowie, podjęta przez siły pacyfikacyjne SS,

¹⁰⁰ Por.: przypis 98.

¹⁰¹ Marija Szeremieta, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 2 sierpnia 2005 r.

¹⁰² Por.: przypis 88.

¹⁰³ W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto rodzinne...*, s. 187.

¹⁰⁴ Por.: przypis 98.

nie była skoordynowana z kosowskimi władzami okupacyjnymi w Iwacewiczach, ponieważ jednostki te niezbyt liczyły się z miejscowymi władzami. I gdy wiadomość o akcji w Kosowie dotarła do Iwacewicz, zdecydowano się tam zapewne na interwencję. Widocznie przekonano dowództwo sił represyjnych, że w Kosowie nastroje w stosunku do partyzantów są nienajlepsze, zwłaszcza po licznych grabieżach i mordach i tym samym potwierdzono słowa ks. W. Antonika i in. To chyba zdecydowało, że dowództwo jednostki pacyfikacyjnej postanowiło około godz. 18⁰⁰ puścić wszystkich do domu. Ludzie byli głodni i wyczerpani fizycznie oraz psychicznie. Niektórzy nawet przez pewien czas nie nocowali w domu w obawie, że esesmani mogą jeszcze zmienić zdanie.

Najgorszy był los zakładników osadzonych w Niechaczewie. Sądzę, że były podjęte jakieś starania. Uważa się, że ważną rolę odegrała tu Olga Winnicka-Kalinowska, kobieta bardzo operatywna przy każdej władzy. To jej starania spowodowały przyjazd do Niechaczewa specjalnego przedstawiciela Gebietskommissariatu (Komisariatu Okręgu) ze Słonimia, który doprowadził do uwolnienia zakładników. Pani Olga Winnicka-Kalinowska miała swój osobisty powód, gdyż jeden z zakładników, Anton Pliskiewicz, był jej wujkiem. Uwolnieni zakładnicy piechotą wrócili do domu nad ranem po wielu dniach od zatrzymania. Niektórzy twierdzą, że pewną rolę w uwolnieniu zakładników odegrała również córka ks. W. Antonika, Ola, która znała język niemiecki, a ponadto, ku niezadowoleniu ojca, podobała się jednemu z żandarmów.

Jesienią 1942 r., po przeprowadzeniu przez Niemców pierwszej na szeroką skalę wielkiej obławy pacyfikacyjnej przeciw partyzantom, władze okupacyjne postanowiły powrócić do Kosowa, nie uważały bowiem za stosowne pozostawić tak dużego terenu poza swoją kontrolą. Do tej pory, w czasie okupacji niemieckiej zgodnie z podziałem administracyjnym, jaki oni tu zastosowali w latach 1915-1918, Kosów należał do Słonimskiego Komisariatu Okręgowego i podlegał zarządowi wojskowemu. Teraz ten podział zmieniono, gdy we wrześniu 1942 r. na tym obszarze Białorusi stworzono aparat administracji cywilnej¹⁰⁵. W Iwacewiczach utworzono siedzibę nowego powiatu, należącego do Baranowickiego Komisariatu Okręgowego, a Kosów – przedwojenną siedzibę powiatu – zdegradowano do roli gminy, ograniczając do minimum jej uprawnienia¹⁰⁶.

Policję i nieliczną żandarmerię umieszczono w dawnych obiektach Pineasa, gdzie przed wyjazdem do Iwacewicz znajdowały się urzędy administracji cywilnej. Teren obwarowano i zabezpieczono przed ewentualnym atakiem partyzantów. Ze strony południowo-wschodniej otoczono go zasieka-

¹⁰⁵ J. Turonek, *Białoruś pod okupacją...*, s. 85.

¹⁰⁶ M. Banasiewicz, *Da pieramohi iszli razam*, [w:] *Pamięć. Iwacewicki rajon*, s. 187.

mi z drutu kolczastego i wybudowano bunkry z drewna i piasku. Zaczęła też działać administracja cywilna.

Na przełomie lat 1942/1943 w Kosowie zanotowano szereg podpaleń stodoł z zawartością ostatnich zbiorów. Spalono stodoły ks. W. Antonika, Józefa Jurewicza i in. Ogólnie uważano, że był to odwet za niewykonanie poleceń partyzanckiego podziemia. Zwrócono się więc o pomoc do władz okupacyjnych, ale bezskutecznie, gdyż te twierdziły, że nie są w stanie zapewnić należytej ochrony. Natomiast zaleciły, aby mieszkańcy sami zapewnili ochronę swego dobytku. W tym celu zorganizowano tzw. samoochowę (samobronę), która zobowiązywała mężczyzn z poszczególnych domów do pełnienia warty w nocy w określonych dniach. Na obrzeżach miasta wybudowano szereg bunkrów z drewna i piasku, w których to w nocy z bronią obserwowano teren. Pamiętam lokalizację dwóch takich bunkrów. Jeden stał na skraju cmentarza prawosławnego przy drodze prowadzącej do wsi Skuraty (dziś już zarośnięta), a drugi w polu na wzgórzu za targowicą (dziś przechodzi tu szosa). Nawet bydło na pastwiska często wyganiano w asyście uzbrojonych członków „samoochowy”. Raz nawet znalazłem się w ich towarzystwie, gdy byłem z koniem dziadka na pastwisku w miejscu, gdzie teraz znajduje się zbiornik wodny w pobliżu Mereczowszczyzny. Toteż obrona przez mieszkańców własnego dobytku przed partyzantami niezbyt pochlebnie świadczy o ich popularności w Kosowie.

Powrót władz okupacyjnych do Kosowa umożliwił również sprawne prowadzenie bez zakłóceń nauki w szkole. Tym bardziej że była to jedyna szkoła podstawowa w najbliższej okolicy, gdyż inne nie mogły funkcjonować, ponieważ partyzanci niemal wszędzie spalili budynki szkolne.

Pomimo nie osiągnięcia przez partyzantów wszystkich zamierzonych celów, odnieśli oni jednak jakiś sukces. A mianowicie głównodowodzący P. Proniagin zrealizował swój główny cel — zaplanowane wyprowadzenie z Kosowa ukrywających się tam jeszcze Żydów. Ponadto, co najważniejsze, już samo zaatakowanie przez kilka oddziałów partyzanckich znanego historycznego miasteczka Kosowa należy uznać za dość śmiały wyczyn. Nie pozostało to, oczywiście, bez echa. Lotem błyskawicy wieść ta rozniosła się po całej okolicy, z czasem zataczając coraz szersze kręgi. Znalazła się ona nawet w komunikacie Sowieckiego Biura Informacyjnego¹⁰⁷. Spotęgowane to zostało jeszcze przez olbrzymią akcję propagandową. Pomogły w tym same władze okupacyjne poprzez swoją decyzję o przeniesieniu swoich placówek do Iwacewicz, bez czego sukces propagandowy partyzantów nie byłby tak znaczący. Fakt ten partyzanci świetnie wykorzystali, zaczęli świadomie nagłaśniać wyolbrzymione, a nieodpowiadające prawdzie, rzekomo poniesione przez Niemców i policję straty. Jednocześnie znacznie pomniejsza-

¹⁰⁷ E. Maksimowa, *Żył li prawiednik po prawdzie...*

li swoje straty i wyolbrzymiali swój sukces, nie wspominając przy tym o popełnionych przez siebie przestępstwach (np. spalenie cywilnego szpitala).

Ponadto użycie przez partyzantów w czasie napadu na Kosów broni maszynowej i działa oraz dużej liczby ludzi znacznie podniosło ich autorytet, ale też i lęk wśród ludności cywilnej. Ludność ta z większą pokorą zaczęła godzić się na bardzo uciążliwe utrzymanie coraz liczniejszej partyzantki, która w zawrotnym tempie zaczęła wzrastać. Do lasu przeważnie uciekała młodzież, zwłaszcza ta, która była zagrożona wywózką na roboty do Niemiec, co w rezultacie doprowadziło do zaniechania przez władze okupacyjne dalszego poboru. Wielu członków rodzin policjantów (nawet dalszych) oraz tych, co często nawet z błahych powodów naraziło się partyzantom, w obawie przed represjami z ich strony, opuściło wsie i przeniosło się do strzeżonych miast. A w miastach władze okupacyjne wzmocniły garnizony oraz dokonały budowy umocnień przed ewentualnymi atakami, przygotowując się do rozprawy z partyzantami.

Propaganda w wydaniu partyzantów miała swój sens w warunkach okupacji niemieckiej, gdyż wszystkie metody walki, które prowadziły do zniszczenia wroga, posiadały swoje uzasadnienie. Szkoda tylko że i po wojnie nie zdjęto z tamtych wydarzeń propagandowych naleciałości i nie przedstawiono wydarzeń związanych z napadem na Kosów z należytyym szacunkiem dla faktów. Wręcz odwrotnie, kontynuowano bałwochwalstwo, oddawano hołd osobom nie zawsze zasługującym na to, świętowano jubileusze¹⁰⁸ zamiast poddać głębokiej analizie przeszłość w oparciu o rzeczywiste fakty.

A bez ujawnienia prawdziwych faktów niemożliwe jest zrozumienie strat, jakie poniósł Kosów w wyniku napadu partyzanckiego 3 sierpnia 1942 roku. Straty te są ogromne, miasto odczuwa je po dziś dzień i długo jeszcze nie otrząśnie się z zadanych mu wtedy ran, choć minęło już od tego czasu ponad sześćdziesiąt lat.

W czasie napadu i po nim partyzanci spalili nie mniej budynków publicznych i prywatnych niż to miało miejsce w czasie frontowych działań wojennych w latach 1941-1944. W 1942 r. spalono niemal całą Mereczowszczyznę wraz z domkiem T. Kościuszki, a w 1944 r. tuż przed wyzwoleniem partyzanci spalili ostatecznie również pałac Pusłowskich. Chciano go spalić znacznie wcześniej, ale ponoć stanowczo sprzeciwił się temu Nikołaj Trinda i dopiero po jego śmierci dokonano tego przestępczego wyczynu¹⁰⁹. Zabytki te przed wojną 1939 r. przynosiły sławę i rozgłos miastu, były magnesem przyciągającym turystów i nawet mężów stanu, a Kosów tętnił życiem. Spalono również wiele cywilnych domów, opuszczonych chwilowo przez

¹⁰⁸ P. Miergies, *Bol strat stukaje u sercy*, „Iwacewicki Wiesnik”, z dn. 14 sierpnia 1992, nr 38, s. 1-4.

¹⁰⁹ P. Konajew, *Szlachietckije rody i Kossowskaja ziemia*. Wydruk komputerowy opracowania, nadesłany do redakcji „Gaziety dla Wsiech”, s. 30.

ich właścicieli ze względu na panujące bezprawie.

W związku z napadem z Kosowa wyjechało wielu znanych obywateli. Byli to ludzie różnych zawodów, miejscowa inteligencja. Po wojnie bardzo przydaliby się przy materialnej i duchowej odbudowie miasta. Większość z nich nigdy już do Kosowa nie powróciła, zasilając szeregi inteligencji w Polsce, w Europie, w obu Amerykach czy nawet Australii. Najgorsze jednak, co pragnę szczególnie podkreślić, że z powodu napadu na Kosów jego mieszkańcy stanęli w obliczu zbiorowej odpowiedzialności przed Niemcami, równającej się masowemu zabójstwu i niemal cudem uniknęli totalnej zagłady ze strony pacyfikacyjnych wojsk SS.

W napadzie na Kosów należy też dopatrywać się administracyjnej degradacji tego miasta z wielowiekową tradycją, które wcześniej było siedzibą powiatu. To spalenie w Kosowie przez partyzantów niemal wszystkich budynków użyteczności publicznej i licznych domów prywatnych zmusiły po wojnie (w 1947 r.) sowieckie władze administracyjne do przeniesienia siedziby urzędu powiatowego z Kosowa do Iwacewicz. Władze uznały bowiem, że łatwiej niż Kosów będzie odbudować i rozbudować Iwacewicze, położone przy kolei żelaznej i głównym szlaku komunikacyjnym. W rezultacie Iwacewicze zaczęły się szybko i dynamicznie rozwijać. Dziś jest to już piękne miasto liczące około 25 000 mieszkańców. A Kosów zaczął cofać się w rozwoju. Dziś liczy zaledwie 2 500 obywateli¹¹⁰. Najzdolniejsza młodzież zaczęła opuszczać miasto. Rdzenni mieszkańcy to przeważnie ludzie starzy. Nowi mieszkańcy pochodzą głównie z okolicznych wsi. Nie są oni jednak związani uczuciowo z miastem. W mieście przygasło życie kulturalne i sport.

W rezultacie napadu na Kosów 3 sierpnia 1942 r. miasto poniosło ogromne straty materialne i duchowe. Dlatego napad ten nie zasługuje na miano bohaterskiego. Należy zatem usunąć obelisk lub zmienić napis na tablicy pamiątkowej, albowiem nie odpowiada on prawdzie, ponieważ nie było „rozgromienia garnizonu niemiecko-faszystowskiego”, był tylko napad na miasto o fatalnych dla niego następstwach. Natomiast bardziej należałoby upamiętnić osobę ks. Wasilija Antonika i wybudować mu pomnik, popiersie lub chociaż ufundować tablicę pamiątkową. Sam tytuł honorowego obywatela miasta Kosowa z zaniedbaną mogiłą na cmentarzu stanowczo nie wystarcza.

¹¹⁰ *Iwacewiczskij rajon. Wcziera - siegodnia - zawtra*, Baranowiczi 2003, s. 5-6.